

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne · cena 5 zł · nr 3-4 (255/256) · marzec/kwiecień 2010

*Zdrowych i Spokojnych
Świąt Wielkiej Nocy
życzą
„Wiadomości Kościańskie”*



Przedwiośnie w Turwi Fot. Bogdan Ludowicz



Jedna z kapliczek.

Fot. Bogdan Ludowicz

Kopaszewska Droga Krzyżowa

„Była to niedziela 3 października 1855 roku, kiedy proboszcz krzywiński ks. Franciszek Poniecki, w obecności 18 kapłanów i wiernych z całej okolicy poświęcił 14 stacji jedynej w swoim rodzaju Drogi Krzyżowej” - czytamy w kronice parafialnej. 16-kilometrowa trasa wiedzie przez pola, łąki i lasy, ciągnie się przez tereny trzech parafii: Choryni, Wyskoci i Rąbinia. Zaczyna się przy kaplicy w Kopaszewie i prowadzi przez Kopaszewko, Rogaczewo Wielkie, a dalej przez kładkę przerzuconą nad Rowem Wyskoć do Rąbinia, by tym samym szlakiem wrócić do Kopaszewa. Na skrzyżowaniu dróg znajdują się małe, murowane kapliczki. Mają one formę kwadratowych słupów o bokach 1,5 x 1,5 metra i wysokość 3,5 metra, które zwieńczają czterospadowe daszki. Na dwóch ścianach każdej kapliczki wmurowane są odlewy przedstawiające poszczególne stacje drogi krzyżowej. Umieszczone zostały tak, aby wskazywać równocześnie kierunek dalszej drogi. Stacje I i XIV wmurowane są w zewnętrzne ściany wieży kopaszewskiej kaplicy, a VII i VIII po obu stronach bramy na kościele w Rąbiniu.

Płaskorzeźby z Paryża

Fundatorem Kopaszewskiej Drogi Krzyżowej był Jan Koźmian, ówczesny dziedzic Kopaszewa. Bezpośrednią przyczyną tego przedsięwzięcia była samobójcza śmierć żony Zofii (córki generała Dezyderego Chłapowskiego), która popadłszy w depresję otruła się 25 października 1853 roku. Pochowano ją w rodzinnych grobach przy kościele w Rąbiniu. Przy drodze, którą szedł kondukt pogrzebowy, wystawiono w dwa lata

później kapliczki drogi krzyżowej. Płaskorzeźby poszczególnych stacji sprowadzono z Paryża. Wykonano je w znanej paryskiej pracowni. Indultu na założenie tej drogi udzielił papież Pius IX. Jednak arcybiskup Przyłuski, nie chcąc nadać jej większego znaczenia, nie pozwolił, by prowadziła przez inne parafie, a mianowicie wyskocką i rąbińską. Wtedy Koźmian postarał się o nowy pokonujący te trudności indult Stolicy Apostolskiej. Oba oryginalne dokumenty znajdują się dziś w kaplicy w Kopaszewie. ➔

W numerze m.in.

Rozmyślnia o poście
spisał o. Jan Bereza (OSB)
(6-7)

Dzienniki
red. Macieja Morawskiego
z Paryża (10-12)

Pół wieku „Tysiącłatki” -
o nowym patronie
kościąńskiej „Czwórki”
(13-17)

„Wszystko zaczęło się od Bąbla”
Kasia Żurek rozmawia
z Hanną Hubaj-Ludowicz
(18-20)

„W konspiracji i w chmurach”
Z życiorysu
mjr. Ludwika Miśka
(26-29)

O kościańskich policjantach
zamordowanych przez
Sowietów pisze
Zenon Józwiak
(29-31)

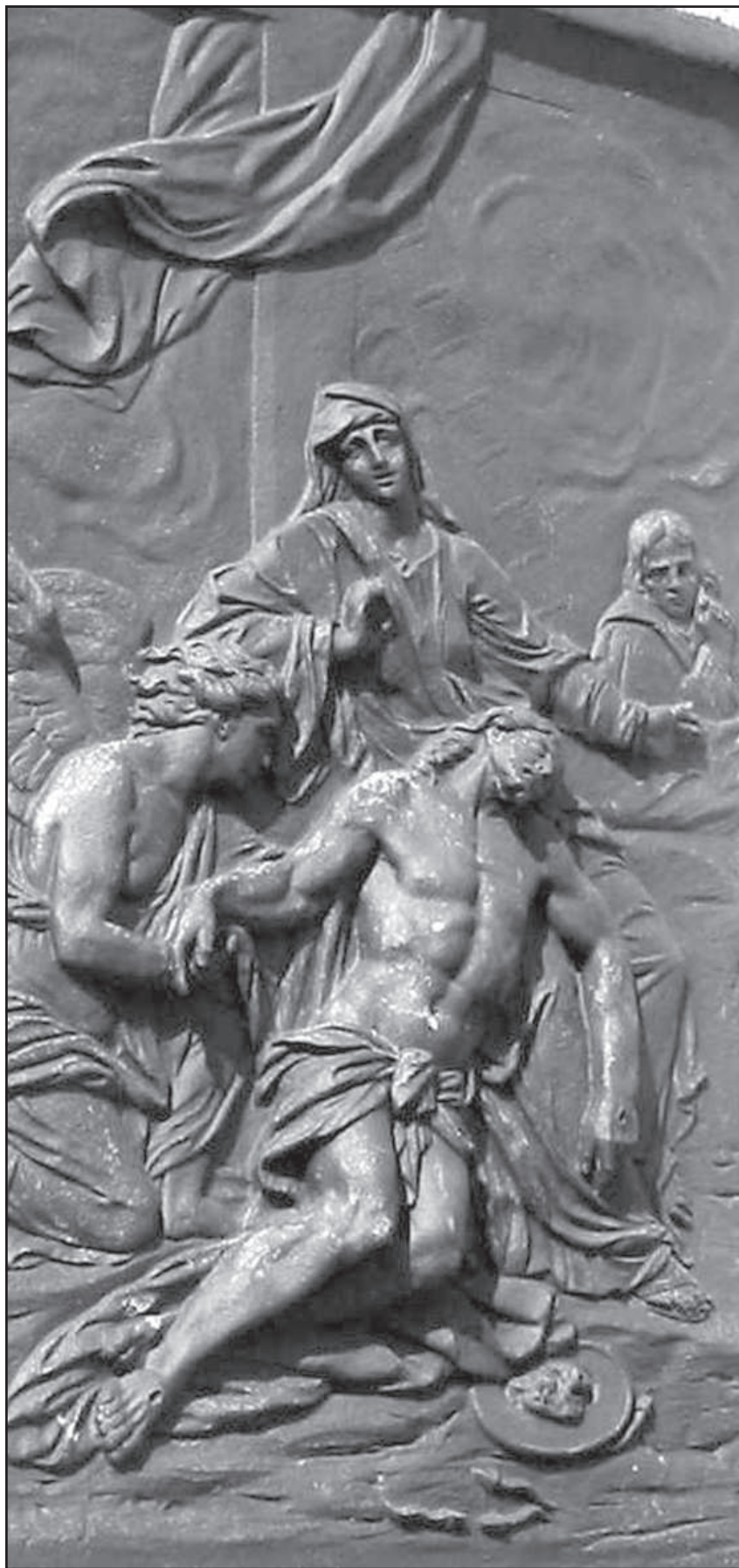
„Na wygnaniu”
- okupacyjne wspomnienia
Stanisława Rajcha
(36-38)

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Józef Kubicki (sekretarz redakcji) oraz Alicja Żurek (marketing i kolportaż). **Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyś, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

► Bohaterowie tej historii

Jan Koźmian pochodził z ziemiańskiej rodziny w Królestwie Polskim. W 1831 r. jako 16 letni chłopiec, zaciągnął się do wojsk powstańczych. Po upadku powstania przekroczył granicę pruską. Nie mogąc wrócić do ojczyzny, kształcił się i pracował zagranicą, angażował się w przedsięwzięcia polityczne i religijne. Zyskawszy przychylność generała Dezyderygo Chłapowskiego, został przez niego sprowadzony z Drezna do Berlina i przedstawiony córce generała, Zofii. Wybór i decyzja ojca opierały się wyłącznie na zaletach charakteru przyszłego zięcia i jego wyjątkowych zdolnościach. Nie pochodził on bowiem ani z wybitnego, ani z zamożnego rodu. Ślub Koźmiana z najstarszą córką generała Chłapowskiego odbył się w Berlinie, 16 maja 1846r. Małżonkowie mieszkali w tym mieście do 1852r., gdyż Koźmian, jako były powstaniec, nie miał prawa wstępu ani do Księstwa Kongresowego, ani do Poznańskiego. Teść jednak wystarał się dla zięcia o pozwolenie na pobyt stały w prowincji poznańskiej i oddał mu najpiękniejszy ze swoich majątków - Kopaszewo z ładnym pałacem, oddalonym o 4 kilometry od Turwi.

Zofia, urodzona w 1824r., była drugim ukochanym dzieckiem Chłapowskich, najstarszy syn Stanisław urodził się 1822r. Córka generała odebrała staranne domowe wykształcenie. Uczuciowo była bardzo związana z rodzicami. Pomimo obiegowych opinii, że jej małżeństwo z Koźmianem było nieszczęśliwe, zachowana w zbiorach rodzinnych korespondencja świadczy o przywiązaniu i czułości małżonków wobec siebie. Chociaż Koźmian miał być wyjątkowo brzydki, niemniej Zofia szczerze go kochała. Nieszczęściem tego małżeństwa było, że córka generała, jak się po kilku latach okazało, nie była w pełni zdrowa psychicznie. Bardzo wczesnie wystąpiły u niej zaburzenia umysłowe i melancholie, które doprowadziły ją siedem lat po ślubie do samobójczej śmierci.



Stacja Jezus zdjęty z krzyża.

Fot. Bogdan Ludowicz

W żałobie

Wiadomość ta dotarła 11 października 1853r. do jej rodziców, którzy z najmłodszą córką Józefą przebywali wówczas w Rzymie. Cios ten znieśli po chrześcijańsku, a przecież było to ich ukochane dziecko. Jednak generał zaczął powoli wycofywać się z pracy społecznej i rolniczej, coraz częściej angażował się w sprawy kościelne i życie religijne. Po śmierci żony, Koźmian postanowił poświęcić się kapłaństwu. Przez jakiś czas przebywał jeszcze w Kopaszewie, gdzie otaczał troskliwą opieką swoich poddanych. Pod wpływem Edmunda Bojanowskiego w 1854r. utworzył m.in. ochronkę dla dzieci. Jak wynika z „Dzienników” Bojanowskiego, był on częstym gościem właściciela Kopaszewa. W 1857r. rozpoczął studia teologiczne w Rzymie. W wieku 46 lat otrzymał święcenia kapłańskie z rąk sufragana gnieźnieńskiego biskupa Brodziszewskiego. Pragnieniem jego było osiąść przy cichym, wiejskim kościele w pobliżu grobów swoich bliskich, ale stało się inaczej. W czasie kulturkampfu, po uwięzieniu arcybiskupa Ledóchowskiego, potajemnie kierował sprawami archidiecezji oddając wybitne zasługi kościołowi polskiemu. W tym czasie, miejscem pobytu Koźmiana stało się Jurkowo. Wspomina o tym Kajetan Morawski w książce „Tamten brzeg”:

„(...) Ta mała, wiejska kapliczka wyrosła przejściowo do godności katedry, gdy w czasie kulturkampfu, po aresztowaniu kardynała Ledóchowskiego, powierzony ks. Prałatowi Koźmianowi tajny zarząd archidiecezji przeniesiony został konspiracyjnie do zagubionego wśród bagien obrzańskich dworu. Otworzył się w nim podówczas ponownie skrytka, które odmiennej, ale bliskiej sprawie służyły w latach 1848; 1863”.

Koźmian zmarł w drodze do Rzymu, w Wenecji 19 września 1877 roku, jako kanonik katedralny, prokonotariusz apostołski i prałat domowy Ojca św.

Modlitwa i umartwienie

Czy Kopaszewska Droga Krzyżowa była miejscem kultu religijnego? Na ten temat mamy bardzo mało informacji. Należy przypuszczać, że dla rodziny

była raczej miejscem pamięci tragicznych wydarzeń, a dla indywidualnych pątników trasą osobistych refleksji, modlitwy i umartwienia. W czasie II wojny światowej dwie kapliczki pomiędzy Rogaczewem i Rąbiniem zostały zburzone. Polecenie wydał niemiecki zarządca Turwi Meihoffer. Za próbę niewykonania tego zarządzenia, Józef Kasprzak z synem Antonim zostali tak dotkliwie pobici, że nie byli zdolni do pracy przez miesiąc. Kapliczki ostatecznie zburzono, ale uratowano metalowe tablice przedstawiające stacje V i X oraz VI i IX. Po wojnie umieszczono je tymczasowo na zewnętrznych murach kościoła w Rąbiniu.

Kopaszewską Drogę Krzyżową odkrył na nowo i rozpropagował proboszcz krzywiński ks. prałat dr Jan Gierliński. Z założonej przez niego kroniki parafialnej dowiadujemy się, że w setną rocznicę poświęcenia miała odbyć się wspólna droga krzyżowa okolicznych parafii, ale z powodu braku zgody władz powiatowych została odwołana. Podobne próby w 1956r. także nie dały rezultatu. Dopiero rok później zabiegi ks. Gierlińskiego zakończyły się powodzeniem. Zachowane zdjęcia i opisy świadczą o imponującym przebiegu tego wydarzenia. 22 września o godz. 13.00 w kopaszewskiej kaplicy odprawiono mszę św., po której ks. prałat Tomasz Sworowski z Kościana przemówił do pątników i poświęcił ich krzyże.

W drogę ruszyło ok. 2 tys. pielgrzymów. Towarzyszyło im kilku księży: ks. prob. Adamczewski z Czerwonejwsi, ks. prob. Michałak i ks. Kasprzak z Wyskoci, ks. prob. Pleszkiewicz z Rąbinia, ks. prob. dr Jan Gierliński z Krzywina, oraz dwóch ojców i czterech braci benedyktynów z Lubinia. Spośród biorących udział wyróżniała się grupa harcerzy i harcerek z brzoźowymi krzyżami. Drogę krzyżową zakończono późnym wieczorem w Kopaszewie. Następnego roku 29 czerwca w niedzielę przy okazji odpustu w Rąbiniu po raz drugi odprawiono drogę krzyżową, tym razem pątników spotkał ulewny deszcz. Kolejny raz zorganizowano drogę krzyżową tym szlakiem w 1983r. Odbywała się ona - jak wspomina ks. kanonik Franciszek Graszyński - pod eskortą dwóch samochodów z funkcjonariuszami SB - którzy przez lornetki obserwowali uczestników.

Odnowienie śródpolnej kalwarii

W lipcu 1992r. narodziła się inicjatywa powołania Społecznego Komitetu Odbudowy Kopaszewskiej Drogi Krzyżowej i Nekropolii Chłapowskich w Rąbiniu. W 1992r. uporządkowano i naprawiono mogiły rodziny Chłapowskich przy kościele w Rąbiniu. W lutym 1993r. podpisano umowę z Janem Tajchmanem z Torunia na konserwację 14 sztuk metalowych płaskorzeźb Kopaszewskiej Drogi Krzyżowej. Prace zakończono w maju, kosztowały 9 tys. zł i zostały pokryte z dotacji Urzędu Wojewódzkiego w Lesznie. W ich trakcie okazało się, że płaskorzeźby są dziełami sztuki o wysokiej wartości i mogłyby łatwo ulec zniszczeniu w dotychczasowych miejscach. Po konsultacjach zdecydowano, że zostanie wykonanych 14 kopii, które trafią do kapliczek. Imitacje kosztowały 11,5 tys. zł i sfinansowano je z dotacji UW w Lesznie. Ze środków komitetu (2 tys. zł) odbudowano dwie zburzone kapliczki. W czerwcu 1994r. kopie, wykonane w pracowni Jana Tajchmana, były już gotowe i zostały wmurowane w ściany kapliczek.

Oryginały Kopaszewskiej Drogi Krzyżowej natomiast wyeksponowano w kaplicy dworskiej w Kopaszewie. Tegoż roku odnowiono elewacje kapliczek. 18 czerwca 1987r. Metropolita Poznański ks. arcybiskup Juliusz Paetz uroczystie poświęcił odbudowaną Kopaszewską Drogę Krzyżową. W ten sposób uchroniono od zapomnienia i przywrócono świetność unikatowej w skali Wielkopolski śródpolnej kalwarii. Teraz pielgrzymi i turyści mogą korzystać z odnowionego szlaku kopaszewskiej drogi. Ks. dr Jan Gierliński w 1958r. pisał w „Przewodniku Katolickim”:

„Przebywają oni chętnie blisko dwadzieścia kilometrów, dwadzieścia kilometrów Drogi Krzyżowej, za której odprawienie niejednemu sercu Bóg przebaczy winy i daruje kary, zaoszczędzi doświadczeń i codziennych krzyży”.

PAWEŁ BUKSALEWICZ



Ojciec Jan Bereza (OSB)

Rozmyślanie o poście

Drogi czytelniku, zapraszam Cię do krainy praktyki postu. Jest to obszar rozległy zarówno w czasie jak i przestrzeni. Z historii znamy ją najlepiej z życia pustelników czy z bardziej zorganizowanego życia mnichów w klasztorach. Tradycje monastyczne spotykamy we wszystkich wielkich religiach, choć przybierały one różne formy. Znamy je zarówno w chrześcijaństwie, w hinduizmie, dżinizmie, taoizmie a szczególnie w buddyzmie, który jest najbardziej monastyczną ze znanych nam religii i jednocześnie najstarszą, jeśli uznać, że tradycja dżogdzen pochodzi od buddy Miłocze, który żył 17000 lat temu. Mamy więc do przebycia prawie 20000 lat.

Nasza pielgrzymka z założenia nie będzie prowadzić na wzór systematycznego wykładu, linearnie, ale raczej na wzór medytacji, spiralnie. Pragniemy niejako krążyć wokół problemu pogłębiać go, docierać do środka, a jednocześnie odkrywać wciąż nowe aspekty i wymiary. Jest to droga bardziej serca niż rozumu, bardziej egzystencjalnej akceptacji niż intelektualnej recepcji. Post też z samej natury, i to trzeba tu podkreślić, nie jest celem sam sobie, ma nam jedynie pomóc w tym, abyśmy z sercem oczyszczonym

i pełnym miłości mogli kontemplować Tego, który jest celem naszego ziemskiego pielgrzymowania.

W przemierzanych tradycjach postu będziemy mogli dostrzec wiele różnic, ale i podobieństw. Różnice mogą wynikać tak samo z różnych doktryn, ale także np. z różnych warunków klimatycznych. Podobieństwa mimo rozmaitych obszarów przestrzeni i czasu mogą pochodzić z tego, że opierają się bardziej na doświadczeniu niż na koncepcjach filozoficznych czy teologicznych. Dobrze ukazuje to historia Świerada i Buddy. Tradycja głosi, że żyjący tysiąc lat temu święty Świerad i jego towarzyszy święty Benedykt jadaliby jeden orzech dziennie, o Buddzie, który żył 2500 lat temu mówi się, że w okresie swego największego umartwienia żywił się jednym ziarnkiem ryżu.

Bez względu na prawdziwość tych opowieści dostrzegamy wielką trudność w jednoznacznym określeniu w wielokulturowym i wieloreligijnym społeczeństwie, czym jest post. To, co dla jednych może wydawać się wielkim umartwieniem, dla innych, w rejonach gdzie panuje głód, może być jedynie niedościgłym marzeniem. Pewne jest jednak, że w każdych czasach i w każdej kulturze czy religii istnieje zwyczaj świadomego wyboru ograniczenia jakościowego czy ilościowego pokarmu i napoju, dla asce-

zy, czyli ćwiczenia dla umocnienia ducha i tego typu ograniczenie będziemy tu nazywać postem. Tradycja judeochrześcijańska jest nam najbliższa i dlatego jej poświęcimy najwięcej uwagi. Nie ominiemy jednak tradycji wielkich religii takich jak buddyzm, hinduizm czy islam.

Zacznijmy jednak od początku. „Na początku - jak czytamy w Księdze Początków - Bóg stworzył niebo i ziemię”. A gdy stworzył człowieka na swój obraz i osadził w ogrodzie Eden rzekł: „Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem”. Na te słowa Pisma świętego często powołują się zwolennicy niejedzenia mięsa tak samo z przyczyn zdrowotnych jak i ascetycznych.

Niektóre starożytne zwyczaje postu znane z kart Starego Testamentu czy pism innych tradycji religijnych mogą nam się dziś wydać anachroniczne. Jednak z punktu widzenia duchowego mogą nam dać wiele inspiracji do przemyśleń i umocnić w nas potrzebę praktyki postu. Jednym z nich na pewno jest „eksperyment”, jaki zaproponował prorok Daniel strażnikowi, aby rozwiać jego wątpliwości, co do słuszności diety opartej na jarzynie. „Poddaj sługi twoje dziesięciodniowej próbie - czytamy w Księdze Daniela - niech nam dają jarzyny do jedzenia i wodę do picia. Wtedy zobaczysz, jak my wyglądamy, a jak wyglądamy młodzieńcy jedzący potrawy królewskie i postąpisz ze swoimi sługami według tego, co widziałeś.” Strażnik zgodził się na to doświadczenie i po upływie dziesięciu dni zobaczył, że ich wygląd był lepszy i zdrowszy niż innych młodzieńców, którzy spożywali potrawy królewskie. Należy także zauważyć, iż młodzieńcy niejedzący potraw królewskich posiadali mądrość, wiedzę i umiejętność interpretacji wszelkiego pisma, a Daniel także miał dar rozoznawania wszelkich widzeń i snów.

Dla chrześcijańskich mnichów czytanie Pisma świętego było podstawową praktyką, czytali je codziennie, niektórzy znali je nawet na pamięć, szczególnie Psalmy. Mnisi jednak nie interpretowali Pisma, uważali, że, aby je zrozumieć trzeba przede wszystkim nim żyć. W pragmatycznym podejściu do Pisma świętego byli tak konsekwentni, że gotowi byli je sprzedać, aby za zarobione pieniądze wypełnić jego nakaz. „Abba Serapion - czytamy w Apoftegmatkach Ojców Pustyni - nie posiadał ni-

czego poza Biblią, ale ją także sprzedał, aby nakarmić ubogich i powiedział: „Sprzedałem nawet to, co mi nakazywało – sprzedaj wszystko, co masz i rozdaj ubogim.” A gdy pewien brat prosił abba Serapiona, aby powiedział mu słowo on spojrzął na książki umieszczone we wnęce i powiedział: „Cóż mam Ci powiedzieć? Chyba to, że zabrałeś własność wdów i sierot i umieściłeś ją w tej wnęce”. Podobnie pragmatyczne podejście obserwujemy również w sprawach postu. Apoftegmaty Ojców Pustyni wspominają o mnichach, którzy jadali raz dziennie, inni, co drugi dzień, albo raz na tydzień, byli i tacy, którzy próbowali pościć - naśladować swego Mistrza Jezusa Chrystusa – czterdzieści dni. Abba Fakos wspomina o jednym z ojców, który przeżył taki post.

Chrześcijaństwo na tereny dzisiejszego Egiptu i Etiopii dotarło zapewne już w I wieku, o czym świadczy opisany w Dziejach Apostolskich chrzest dworzanina etiopskiego (Por. Dz 8, 35 - 40), pierwotnie jednak głównie do miast, gdzie posługiwano się językiem greckim. Na początku III wieku, gdy przełożono Pismo święte na język koptyjski, chrześcijaństwo mogło zostać przyjęte przez Koptów. Wtedy tysiące neofitów, ludzi prostych, przeważnie chłopów, porwanych nauką chrześcijańską wychodzi na pustynię, aby tam pędzić życie pełne prostoty i umartwienia na wzór tego, jakie opis znaleźli w Piśmie świętym: jak Abraham porzucają wszystko na głos Boży, jak Eliaz wychodzą na pustynię, jak Jan Chrzciciel wiodą surowe i pełne umartwienia

życie, jak Chrystus walczył na pustyni z pokusami. Podejmując męczeństwo z własnej woli naśladowając swych braci - męczenników, którzy przelali krew za Chrystusa. W Piśmie świętym znajdują wzory doskonałości, które praktykują z oddaniem z całą prostotą i często całkowitą dosłownością. Ich codzienne życie staje się nieustannym postem.

Opisane poniżej zwyczaje i praktyki postu zapewne nie są do zastosowania w całym swym zakresie i nie dla wszystkich, ale każdego z nas mogą inspirować do osobistej praktyki postu.

o. JAN BEREZA (OSB)

* Autor tekstu, wspólnie z Ewą Awdziejczyk, jest autorem książki „Posty i tosty”, która ukazała się w tym roku nakładem Wydawnictwa Znak w Krakowie.

Z pokładów serca – Wielkanocnie

1.

Wielkanoc. Święto Zmartwychwstania. Nie jest tak, że nie odczuwam bolesnego łamania głowy, usiłując pojąć jego istotę zgodnie z głoszonymi przez mój Kościół prawdami. Ale jest to i jak najradośniejsze bolesne łamanie głowy. Przyjmuję do wiadomości Wielką Obietnicę. Że zostanie usprawiedliwiony. I dostąpię trwania w stanie szczęśliwości doskonałej. To tutaj właśnie zaczyna się najradośniejsze łamanie głowy. A pamiętam przy tym o Pawłowym postawieniu sprawy: albo przyjmuję do wiadomości fakt Zmartwychwstania i jego owoce, albo przeżywaną przez siebie rzeczywistość uznaję za całkowicie pozbawioną sensu. Ten radykalizm Pawła z Tarsu jest bardzo przydatny. Teraz.

2.

Okołowielkanocny i wielkanocny Kościół koczując przede wszystkim z kaplicą Świętej Zofii. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego stulecia byłem ministrantem „u Sióstr”. W przeciwieństwie do ministrantów „we farze”. W ramach swoich obowiązków asystowałem szpitalnemu kapelanowi udzielającemu komunii świętej chorym leżącym na poszczególnych oddziałach. Widziałem różne postaci cierpienia. Widziałem różne postawy tych, którzy cierpieli. W rzeczywistości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z mojej ministranckiej per-

spektywy Kościół był miastem ludzi czujących się silnie związanymi z Kościołem rzymsko-katolickim. W okolicznościach intensywnej i wielopłaszczyznowej propagowania tak zwanego światopoglądu naukowego i tak zwanej kultury świeckiej nabożeństwa pasyjne odprawiane były w wypełnionych świątyniach. Rekolokacje wielkopostne gromadziły tłumy. Czyli?... Właśnie!

3.

Moja straszliwie łamiąca się głowa usiłuje pojąć także istotę Krzyża. Istotę Miłości. Ta treść chrześcijańskiej prawdy o Bogu wstrząsa (jakże pozytywnie wstrząsa) już choćby po powierzchownym wnikięciu w jej sens. W warunkach rzeczywistości doświadczanej, rzeczywistości, do której moja nieufność coraz to wzrasta (starzeję się?!) udaje mi się jakoś wewnątrznie ułagać! Powoli osiągam fazę zrozumienia decyzji podejmowanej przez uczestnika zgromadzenia zakonu kontemplacyjnego. Ale może mi się tylko tak wydaje. W każdym razie odniesienie Krzyża do owej rzeczywistości, już wiem, nieprzyjemnej pozwala uzyskać duży ładunek spokoju. To jednak nie oznacza, że ból łamiącej się głowy ustępuje.

4.

Nie wiem, jaka będzie pogoda w Kościele w tegoroczną niedzielę wielkanocną. Czy zima nękająca z dokuczliwością szczególną (choć przecież nie tak znów nad-

zwyczajna, ale na pewno z mojego prostackiego punktu widzenia – jakby wbrew teozom głosicieli postępującego procesu globalnego ocieplenia) już abdykuje? W Kościele przeżywałem niedziele wielkanocne i śnieżne, i bez mała upalne. I były to niedziele wielkanocne różne pod względem odczuwania atmosfery świętowania. Bywało, że świętowałem głupio i bezmyślnie. Ale to już przeszłość. W tym roku, jak i w ostatnich latach poprzednich, będę świętował z dużą grupą bliskich mi osób, którzy przez Krzyż, jak wierzę, zostali usprawiedliwieni.

5.

Oczywiście na co dzień funkcjonuję tak, by nie powodować zakłóceń. Nawet zabiegam, żeby moja aktywność przynosiła efekty, których oczekuję. Zdarza się, niestety-nierzadko, że efektów nie ma wcale albo od oczekiwań są dalekie. W ten sposób wkręcam się w tryby terażniejszości. Jeślibym nie uważał, wkręciłbym się wielokrotnie całkowicie. A moim zdaniem w tryby terażniejszości można pozwolić wkręcić zupełnie jedynie pod warunkiem, że jest to zasadne z arcyważnego punktu widzenia: niepodlegającego dyskusji dobra drugiego człowieka. Czyli z punktu widzenia Zmartwychwstałego.

Jak najpełniej radosnej Wielkanocy?

TADEUSZ HOFMAŃSKI



Pisanki ukraińskie.

Fot. Wikipedia



Pisanki czeskie.

Fot. Wikipedia

Dzieje jaja wielkanocnego

Zwyczaj święcenia i spożywania jaj wielkanocnych ma swoje prawdziwe korzenie. Wywodzi się z wierzeń pogańskich. Szczegółowo pisał o tym polski etnograf Franciszek Gawełek. Niniejszy tekst jest wyborem fragmentów z jego naukowego opracowania, zamieszczonego w 1911r. na łamach pisma „Lud”.

Magiczny środek medyczny

Już od najdawniejszych czasów jajko odgrywało bardzo ważną rolę w życiu ludzkim. Mity indyjskie wyprowadzają początek świata z olbrzymiego jaja. Podanie ukraińskie opowiada, że dawnymi czasy, kiedy ziemia była jeszcze pusta, zesłał Bóg na ziemię koguta, aby ją ożywił. Kogut zniósł jajko, z którego wypłynęło siedem rzek, te zrosiły doliny i wkrótce wszystko pokryło się zielonością, ożywiło kwiatami, napełniło owocami.

Stosowanie jajka, jako środka oczyszczającego, znane było w medycynie starożytnej. Owidiusz radził młodzieńcowi, aby w razie choroby swej ukochanej, udał się po radę do znachorki: „Niech przyjdzie babka, by dom i łożo oczyścić, w drżącej dłoni niech niesie przed sobą siarkę i jaja”. Podobnie Juwenal i inni radzą używać jajka w różnych wypadkach choroby. Bar-

dzo często ciało chorego obwodzono dookoła jajkiem, poczem wynoszono je na rozstajne drogi i wyrzucono w tym przekonaniu, że tym sposobem odrzuca się również chorobę od danej osoby. Jest to po prostu najtańsza i najprostsza forma metody kuracyjnej tzw. „transplantatio mordi s. mali”.

Według Klemensa Aleksandryjskiego, jaja użyte do podobnej operacji traciły zdolność do dalszego rozwoju. Jajko bowiem, jako dające początek nowemu życiu, samo z natury rzeczy uważane było za samostną, żywą w stanie chwilowego uśpienia pozostającą istotę, symbol siły tworzącej i niszczącej, dnia i nocy, żywota i śmierci, tego przebytego życia, które zgasło i tego nowego, które się ma zacząć, i jako takie mogło uchodzić za dostateczną przynętę dla demona, czy ducha, od którego człowieka lub bydłą uwolnić należało. Zwyczaj wynoszenia jaj oczyszczających na rozstajne drogi,

dał z czasem powód do uważania ich jako ofiary na cześć Hekaty.

Jako siła przeciwdziałająca złym duchom, jajko używane było w kulcie umarłych jako tak zwana „coena novemdialis”, t.j. uczta dziewiątego dnia zamykająca okres żałoby. Jajko wkładane nieboszczykowi do grobu, miało go oczyścić ze wszystkich nieprawości: wiara ta do tego stopnia była rozszerzona, iż utrzymywano, jakoby nieboszczyk, któremu tego nie uczyniono, zjawiał się po śmierci, żądając od przyjaciela ofiary. Skoro już raz przyjęła się wiara w moc przeciwdziałającą złemu duchowi, poczęto jajka używać nawet tam, gdzie ono było zupełnie zbyteczne, np. przy zakładaniu nowego domu, zakładaniu miast i wznoszeniu ogromnych budowli. Żydzi, według świadectwa Tozefta z III w. po Chrystusie, wkładali jaja lub ich skorupy w ściany domów, co miało je bronić przed złymi duchami. Wróżenia za pomocą jaj rozwinęły się szeroko w Indiach, Indochinach i Indonezji.

W grobach Słowian

Jak u starożytnych, jaja mają wielkie znaczenie i u Słowian w obrzęd-

dach pogrzebowych. U południowych Słowian rodzina zmarłego udaje się na mogiłę i pozdrowia go słowami „Chrystus zmartwychwstał”, poczem stacza z mogiły jajko i zakopuje je tam, gdzie samo się zatrzyma. W Chorwacji dotąd utrzymuje się zwyczaj kładzenia na świeże jeszcze mogiły jaja, jabłka i chleba dla zmarłych. W Rosji, każdemu, kto umiera w Wielki Tydzień, dają do rąk jajko malowane na czerwone a w Święta Wielkanocne odprawiają po cmentarzach nabożeństwa żałobne za dusze zmarłych. W Brusturach w Wielki Czwartek, dzieci ubogich rodziców otrzymują od zamożniejszych jako jałmużnę za dusze zmarłych, perepiczki lub pisanki. Zwyczaj wkładania jaj do trumny, jako środka oczyszczającego, praktykowany bywa jeszcze i w czasach dzisiejszych. W „Ludzie” z roku 1909, czytamy notatkę doktora Władysława Kosińskiego, z której się dowiadujemy, że w Maniowie, wiosce ruskiej nad granicą węgierską, matka włożyła dziecku do trumny jajko. Na zapytanie sędziego, w jakim celu je tam włożyła, odpowiedział wójt: „Żeby dziecina miała się czym bawić”. W „Czasie” z roku 1861 czytamy, że umarłemu włożono do trumny oprócz różnego gatunku ziarna, jak żyto, jęczmień, owies, tarta, proso, koniec i rozsada, także miód i jajo, kawałek słoniny i kiełbasy i nakryto książką do modlenia.

Jak dawniej ten zwyczaj wkładania jaj do trumny, był szeroko rozpowszechniony przekonują nas o tym wykopaliska. W kijowskim muzeum, wśród przedmiotów pochodzących z mogielnika słowiańskiego przed chrześcijańską dobą, rozkopanego przez W. Chwojkę i S. Mazarakię, w pobliżu wsi Browarek, powiatu hadziackiego, gubernia połtawska, oglądać można malowane kurze jajo. Również bardzo starą, bo z IV wieku po Chrystusie pochodzącą pisanekę znaleziono w Herrnsheimie pod Wormacją, obok zwłok dziewczęcia monety, wskazujących na czas około 320 lat po Chrystusie.

Pokarm dla duchów

Zwyczaj urządzania w Wielki Tydzień ofiar oczyszczających na gro-

bach zmarłych zwłaszcza u południowych Słowian naprowadza nas na stwierdzenie faktu, że Słowianie istotnie w porze wiosennej obchodzili święto umarłych, podobnie jak w Grecji i dawnej Italii. I tak w Italii w miesiącu lutym, w miesiącu „oczyszczeń”, obchodzono święta feraliów albo parentaliów, poświęcone czci i łagodzeniu gniewu zmarłych przodków, którzy w tym czasie mieli opuszczać mogiły i snuć się po świecie. Podobnie było w Grecji starożytnej. Na Rusi w Wielki Czwartek lud wywoływał duchy. Kaznodzieje polscy w XIV i XV wieku stale napominają wiernych, by już raz zaprzestali tych praktyk pogańskich karmienia dusz w Wielki Czwartek: „W Wielki Czwartek” nie umywają po wieczery mis – powiada kaznodzieja – a niektórzy zostawiają umyślnie resztki potraw, karmią się nimi w nocy dusze umarłych, lub demon, zwany uboże, którego chowają po domach dla szczęścia i mienia”. U nas, w Krakowie, jeszcze po dziś dzień istnieje zwyczaj obchodzenia święta umarłych, we wtorek po Wielkanocy. Jest to tzw. Rękawka. Nie będę się tu zastanawiał nad samą nazwą tej uroczystości. Chodzi mi o sam fakt istnienia zwyczaju i jego znaczenia.

Jaja gotowane – mówi Józef Łepkowski – główną odgrywają tu rolę. Rzucane z kopca wskazują, że to obrzęd pogrzebowy, pamiątka śmierci założyciela grobu. To dziady nagrobne, tryzna słowiańska, ukraińska i litewska chałtura, stypa pogrzebowa, panichida ruska. Istnieje nawet tenże sam obyczaj (i o tej samej porze) na Białorusi, u Serbów, Słowian nadelbiańskich i Rosjan, zwany tam Radownicą, Radunicą, Raditielskoj i Raduńcem. Jajecznicą i jaja przy tych uroczystościach na mogiłach, a tłuczenie jaj i tarzenie ich po kurhanach jest w obrzędach owych koniecznością nieodzowną. Zaduszki takie, jak to już wspomnieliśmy wyżej, przypadają wszędzie u wymienionych ludów na wiosnę, około czasu Wielkanocy. Prastara praktyka z jajami od Słowian zapewne przeszła do Gruzynów Kaukazu, gdzie również spotykamy praktyki religijne na grobach zmarłych. Podobnie Żydzi Polski, Litwy i Kaukazu po pogrzebie krewnych zwykli spożywać jaja, przyniesione przez

kogoś z postronnych, nie tyle na znak smutku, ile raczej jako symbol zmartwychwstania po śmierci. Nie mniej ważną rolę odgrywa jajko w obrzędach weselnych różnych ludów, jak np. Malajczyków, gdzie każdy z gości weselnych otrzymuje bukiet kwiatów sztucznych strony we wstęgi i jajka czerwone.

U Rusinów w pierwszym dziesiątku XIX wieku jajkami ubierano korowaj, poczem zjadało je młode małżeństwo. W Radomskim narzeczona przesyłała narzeczonemu po Wielkanocy pisane kraszanki, smingusem zwane. Jako symbol oczyszczający i chroniący przed złą mocą spotykamy jajko u Cyganów siedmiogrodzkich, gdzie mąż, chcąc ustrzec żonę od niepłodności, przebija otwór z obu stron jajka i wdmuchuje zawartość jej w usta. W Rosji, gdzie wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób zatrudnieni byli przy narodzinach, muszą się oczyścić wodą, do której wrzucają chmiel, jajo i owies. Zawieszanie skorup jaj u sufitu spotykane dość często w chatach ludu polskiego ma je zapewne uchronić przed mocą nieczystą. Jajko posiada jeszcze i inną własność, a mianowicie ma pomagać człowiekowi do osiągnięcia bogactwa. Kto chce posiadać inkluz (tj. pieniądź raz wydany zawsze wraca do właściciela) ma jajo od czarnej kury włożyć za krokiew, a włożywszy, nie myć się przez dziewięć dni i przez tyle dni nie odmawiać pacierza. W dziewiątym dniu zrodzi się inkluz.

Wspomnieliśmy już poprzednio, iż jajku przypisywano moc oczyszczającą, która to moc w czasach chrześcijańskich wzmaga się jeszcze przez kościelne poświęcenie. Dawne święto wiosenne ku czci zmarłych zostało przeniesione na chrześcijańską Paschę i zlało się z nią niejako w jedną całość. Oficjalnym zaś świętem umarłych, jest jak wiadomo, dzień zaduszny. Wiara w zjawienie się duchów w porze wiosennej nie znikła jednak jeszcze, owszem napotyka się ją bardzo często. W Wielki Piątek odbywają nieczyste duchy schadzki i wspólne zabawy, zbierając się zwykle na Łysej Górze, a

▶ wiara ta tak jest silnie zakorzeniona, że trudno nawet spotkać wieśniaka lub wieśniaczkę, która by coś nie słyszała o Łysej Górze i nie wiedziała o życiu i ucztach czarownic. W Gruzji Wielki Czwartek uważany bywa za dzień czarownic, w okolicach Niemiec – pierwszy maja jako tzw. Walpurgisnacht. Wiedźma i diabeł, powiada pan Klinger, moce piekielne, są chronologicznie późniejszą zamianą krwiożerczych i złośliwych umarłych, chwilowo wyrzucanych się na wolność i korzystających z niej gorączkowo. Przyjąwszy to twierdzenie, łatwo zrozumiemy znaczenie jajka wielkanocnego. Posiada ono siłę oczyszczającą i broni żywych przed powracającymi w tym czasie duchami na ziemię. Jajko miało być niby metaforą błyskawicy i słońca, a zatem odżywczych sił przyrody i jako takie nazywane było błyszczącym, złotym lub czerwonym. Litewska zagadka tak określa jajko: „Rozbiłem lód (skorupkę), znalazłem srebro (białko), rozbiłem srebro, znalazłem złoto (żółtko).

O pisankach

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć o jajku jako pisance. Że pisanki są bardzo stare, o tym nie wątpimy. Znajdujemy je na grobowcach starożytnych, w wykopaliskach, itd. Jajo malowane w połowie na czarno, w bachicznych i orficznych misteriach, znamionuje już to dzień i noc, już to śmierć i życie, już teraźniejszość i przyszłość. Spotykamy się z nim w pitagorejskich naukach, mamy je w indyjskiej kosmogonii, w mitach egipskich, u Fenicjan, Chaldejczyków, Persów. Na rzeźbach grobów rzymskich i greckich jajo powtarza się jako najpowszechniejszy symbol śmierci. Mnóstwo przykładów przytoczyćby można wykazujących, iż już w najodleglejszych czasach jako godła przebytego życia i tego nowego, co się ze śmiercią zaczęło. Mity, rzeźby, malowania, a nawet jaja wypalone z gliny, znajduwane w grobach rzymskich, greckich i słowiańskich, mogłyby posłużyć tutaj za wymowny dowód tego twierdzenia.

I w Polsce od najdawniejszych czasów znano pisanki. W przypiskach do Kroniki Wincentego Kadłubka znajdujemy wyraźną wzmiankę o pisankach. Mistrz Wincenty, wyrzucając Polakom ich niestałość, powiada, że się bawią ze swymi panami (królami) jak z malowanymi jajkami. Co do pochodzenia pisaneł, lud przypisuje im dawne pochodzenie. W Siedleckiem lud wierzy, że pisanki powstały z kamieni, którymi zadano śmierć świętemu Szczepanowi. Pisanki nazywają się rozmaicie. Ufarbowane na jeden kolor, czy to przez gotowanie, czy moczenie w pewnym barwniku, noszą nazwę malowanek, kraszaneł lub byczków. Jeżeli na tym jednostajnym tle wyskrobany jest deseń to jajko nazywa się skrobanka lub rysowanek. Wreszcie, jeżeli jajko zdobi różnokolorowy deseń, przez pokrycie woskiem pewnych jego części, a następnie gotowanie w barwnikach, to zowią je pisanką, a sposób malowania – pisaniem.

Barwniki otrzymuje lud zwykle z roślin. Na kolor żółty gotują jaja w łupinach cebuli albo w odwarze z kory dzikiej jabłoni lub w pączkach kwiatów knieci błotnej; na brunatny – w bazylii lub moczą w wodzie stojącej w wydrążeniu pnia dębowego; na fioletowy – w listkach kwiatów ciemnej malwy; na zielony – w kotkach osiki z ałunem, w listkach jemioly lub żyta młodego; na pomarańczowy – w krokusie; na czarny – w korze z olchy i młodych liści z klonu czarnego; na czerwony – w odwarze z robaczków czerwcem zwanych.

Pisanki sporządzane bywają najczęściej przez kobiety, rzadziej przez mężczyzn. Pisanie polega na nakładaniu wosku na jaje przy pomocy szpilki, igły ze złamanym uchem lub patyczka rozłupanego na końcu, gdzie osadzona jest cieniutka rurka blaszana, cienki pieniążek lub koniec sznurowadła. Desenie, jakie spotykamy bywają zazwyczaj dokonywane dowolnie, „z własnej głowy”, a nie z jakichkolwiek wzorów. Z form pojedynczych prostych, wyrobił się powoli ornament złożony, tchnący bogactwem formy. Z rozkrojonego jabłka na połówce powstał deseń „w jabłuszka”, dzwonek polny dał „dzwoneczki”, sosna – „so-senki”, itd.

24 lutego

Mija tej wiosny 70 lat od zbrodni katyńskiej. Zginęło tam wielu naszych krewnych i znajomych. Z krewnych wspomnę tylko Marcelego Żółtowskiego z Głuchowa (powiat kościański), męża siostry mojej matki, ojca Marysi Glińskiej (historyka sztuki), Piotra Żółtowskiego (dr. hab. nauk ścisłych) i Reni Jakubowskiej (psychologa). Marceli Żółtowski, uczestnik najpierw „wojny bolszewickiej” (ranny 3.08.1920, odznaczony krzyżem VM), później kampanii wrześniowej, wzięty do niewoli przez bolszewików, został zamordowany w Katyniu 17 kwietnia 1940r. (W Katyniu zginęło trzech Żółtowskich z tego samego rodu). Gdy idzie o znajomych mej rodziny, to spośród osób zamordowanych w Katyniu, wymienię tylko Janusza Libickiego, o ile wiem, docenta UAM w Poznaniu, świetnie zapowiadającego się ekonomistę i prawnika. Janusz Libicki miał tylko jednego syna, Marcina Libickiego, jednego z wybitnych katolickich mężów stanu, człowieka wielkiej kultury i szlachetności, bardzo popularnego, także w niektórych kręgach zagranicznych. Kończąc dodam, że w moim pojęciu, naszym patriotycznym obowiązkiem, jest otaczanie szczególną życzliwością dzieci ofiar Katynia.

25 lutego

Pytano mnie jak oceniam Kapuścińskiego, teraz po ukazaniu się książki Artura Domosławskiego. Odpowiadam: zawsze ja i kilku moich kolegów z RWE wiedzieliśmy, że Ryszard Kapuściński jest jednym z (wbrew pozorom dość rzadkich w PRL) zwolenników systemu „socjalistycznego”. Ceniliśmy jego talent, nie zgadzając się często z jego ocenami sytuacji w tych lub innych państwach. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jako długoletni korespondent PAP-u w krajach, w których toczyła się ostra walka między „Wschodem i Zachodem” musiał mieć kontakty ze służbami PRL. Takie już były PRL-owskie reguły gry. Jeśli idzie o mnie, to wysoko ceniłem jego talent, doskonale zdając sobie sprawę, iż jego postawy ideowe, oceny i orientacje



Maciej Morawski w 2007r.

Fot. Bogdan Ludowicz

Dzienniki Macieja Morawskiego (II)

„Ceniłem talent Kapuścińskiego”

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ostatnio tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy drugi odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2010r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

polityczne, diametralnie różnią się od moich.

26 lutego

Od Francuza, który ostatnio Polskę odwiedzał słyszę, iż obecne polskie młode pokolenie, w przeciwieństwie do ludzi dojrzałych w epoce PRL-u, jest wyraźnie znudzone bezustannym analizowaniem przeszłości, grzebaniem w nocnikach przeszłości. Młody polski naukowiec powiedział mojemu znajomemu: „interesuje nas i niepokoi przyszłość, przeszłość na-

turalnie jest dla nas najważniejsza, w nadchodzących wyborach będziemy głosować na tych, którzy zdołają wysunąć jakiś budzący zaufanie plan rozwoju gospodarczego”.

28 lutego

PS do dziennika z 25 lutego

Zaskoczyły mnie gwałtowne reakcje żony i przyjaciół Kapuścińskiego na książkę Artura Domosławskiego, wręcz poruszyły mnie próby zakazania jej kolportażu drogą sądową. To nie te czasy! Inna rzecz, że zjawi-

skiem naturalnym, wręcz pożądanym, byłyby polemiki z tymi czy innymi tezami, wyrażonymi w tym niewątpliwym bestsellerze. Gdy idzie o mnie, to swego czasu żałowałem, że Kapuściński, ten na poły genialny człowiek, nie przeszedł na naszą stronę. W moim odczuciu, kolosalnym sukcesem dla RWE byłoby nadawanie jego audycji. Jestem przekonany, że Kapuściński świetnie widział felery PRL (nawet mi mówił o tym jeden z krajowych intelektualistów). Przeważała jednak u Kapuściń-



skiego lojalność: w walce z zachodnim ustrojem społecznym, także w walce o (rzekome) „wyzwolenie” tych lub innych krajów Trzeciego Świata.

Co do RWE, to wszak były wypadki przechodzenia na naszą stronę bardzo wybitnych, eks-komunistycznych luminarzy. Jednak moje myśli dotyczące Kapuścińskiego to były przysłowiowe marzenia ściętej głowy. Zgodnie z instrukcją Jana Nowaka, pragnąłem, by wybitnych publicystów przeciągać na naszą stronę. Ale Kapuściński pozostał mimo wszystko wierny „czerwonemu obozowi”. Jaka szkoda. Ten świetny obserwator, mógłby odsłonić wyjątkowo precyzyjnie błędy i absurdy komunizmu.

2 marca

Lada dzień mam dostać książkę „Kapuściński non-fiction”. Jak już podkreślałem, niezwykle ostre polemiki wokół niej, zapewne przemienią ją w bestseller. Staram sobie teraz przypomnieć opinie o Kapuścińskim, jakie przed laty do mnie, do Paryża docierały. Pamiętam, iż często mówiono mi, iż jest on człowiekiem kolegom, także np. młodym dziennikarzem, bardzo życzliwy i pomocny. Miał opinię człowieka autentycznie przyzwoitego. Kiedyś był ponoć zażartym komunistą, później pozostając lewicowcem, wyraźnie ewoluował. W stanie wojennym oddał legitymację partyjną. Przedtem w Stoczni Gdańskiej złożył podpis pod apelem dziennikarzy o przerwanie blokady informacyjnej. Jak stwierdza wybitny publicysta Jacek Snopkiewicz na łamach świetnego pisma „Press”: „dla partyjnego betonu oznaczało to zdradę”.

Dla nas, obserwatorów z zagranicy, ewolucja polityczna Kapuścińskiego, była wyraźnym sygnałem, że reżim PRL-u jest w opałach, że w konflikty z nim popadają ludzie sztandarowi lewicy, posiadający znakomite pióro. Książki „Kapuściński non-fiction” jeszcze nie czytałem. Podkreśliłem już, że dzięki ostrym atakom na nią, może stać się

bestsellerem. Teraz dodam, że cały ten kolosalny szum wokół tej książki, także na pewno jeszcze spotęguje zainteresowanie twórczością Kapuścińskiego. I dobrze, że tak się stanie, bo to wielki pisarz. Celowo, bardzo świadomie używam określenia wielki pisarz, choć stanowczo odrzucam wiele postaw i ocen Kapuścińskiego, to jednak potrafię dostrzec jego wielkość, ogrom jego talentu. Jestem wierny wskazaniom Józefa Czapskiego i mego Ojca, to oni nauczyli mnie, że obiektywnie należy oceniać także przeciwników politycznych.

Z kilku stron dotarły do mnie niezwykle pozytywne oceny kościańskich obchodów ku czci śp. Ambadora Chłapowskiego. Marcin Libicki zadzwonił do mnie po zakończeniu tej uroczystości, to znaczy w piątek 26 02 wieczorem. Mocno podkreślił, iż jej przebieg był naprawdę imponujący. Świetna organizacja, znakomite wypowiedzi... Powiat kościański raz jeszcze wykazał swe przywiązanie do wielkich patriotów, do zasłużonych synów Ziemi Nadobrzeńskiej... Z mej strony mogę tylko powiedzieć: BRAWO, podziękować miejscowym władzom, organizatorom uroczystości, osobistościom, wszystkim, którzy w niej uczestniczyli!

13 marca

Dziś chcę kilkanaście zdań poświęcić miastu i gminie Krzywiń. Od początku lat 90. od czasu do czasu odwiedzam me rodzinne strony ową - jak mawiano przed laty - „kasztelanę krzywińską”. W roku 1841 mój pradziad Kajetan Morawski zakupił od Stanisława Chłapowskiego majątek Jurkowo. Pradziad Kajetan (nie mylić z mym ojcem, jego wnukiem, także Kajetanem), był posłem na sejm pruski. Zasiadał tam rzecz jasna w Kole Polskim. Był postacią dość znaną, wiele wybitnych osób różnych narodowości, odwiedzało go w Jurkowie. Walczę o umacnianie starej przyjaźni z Francją, wymienię więc tylko Charlesa de Montalembert - katolickiego intelektualistę, słynnego francuskiego męża stanu, wiernego przyjaciela Polaków. Montalembert, o ile wiem, kilkakrotnie odwiedzał Jurkowo, zwiedzał całe nadobrzeńskie okolice i żywo interesował się życiem Polaków

pod zaborem pruskim. Mam nadzieję, że Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Krzywiniu, w swych wypowiedziach będzie nawiązywać do wizyt tego wybitnego Francuza w tej gminie. Tu odnotuję również, że od dawna cieszy mnie układ o partnerskiej współpracy gminy Krzywiń z normandzką miejscowością Beny Bocache, częste wymiany wizyt (jednego roku grupa z Krzywina udaje się do Beny, w następnym naszą gminę odwiedzają Francuzi). Muszę podkreślić duże zasługi w tej działalności szeregu osób, np. p. Iwony Jęcz, burmistrza Pawła Buktalewicza, redaktora Andrzeja Kuźmińskiego... Ja szczególną uwagę przywiązuję też do wymiany młodzieży. Z kolei wspomnę, że już kilkakrotnie spotkałem się z uczniami Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Krzywiniu im. Kajetana Morawskiego. Uderzyło mnie, że młodzież krzywińska, bardzo otwarta na świat, ma też duże zdolności aktorsko-artystyczne. Z pomocą znakomych pedagogów - nauczycieli owych szkół i świetnej dyrektorki, organizuje godne uwagi przedstawienia. Ale największe wrażenie zrobił na mnie fakt, że ta młodzież pasjonuje się komputerami, Internetem, informatyką, że jest otwarta na nowoczesność, na szybkie i różnorodne postępy współczesnej nauki.

Pisząc o gminie Krzywiń, muszę też nawiązać do kultu, jakim otaczam cudowną Matkę Boską Jurkowską, Matkę Boską Pojednania Narodowego. Pojednanie narodo- we nie od dziś jest troską mojej rodziny. Np. gen. Franciszek Morawski już w 1829r. próbował godzić klasyków z romantykami... Ojciec mój zaś uważał, że Wielkopoleanie wskazują rodakom drogę rozsądku. Ojca fascynowała np. rozwaga i wrodzony umiar mieszkańców Ziemi Nadobrzeńskiej. Na podstawie informacji z tamtych stron mawiał za czasów tzw. władzy ludowej, że mieszkańcy tej Ziemi na zewnątrz nagięli się do nowej formy, lecz nie sprzeniewierzyli się dawnym, głęboko polskim i chrześcijańskim treściom.

Wybr. i oprac.

TERESA MASŁOWSKA

Pół wieku „Tysiąclatki”

1 września 1960 roku otworzyła swoje podwoje nowa kościańska szkoła. Zwano ją najpierw „Tysiąclatką”, bo zbudowano ją – jak wiele innych w kraju - dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego. Później przyjęła imię gen. Karola Świerczewskiego „Waltera”. Jej pierwszym kierownikiem był żołnierz Armii Krajowej – Ignacy Minta. Prasa doniosła, że naukę w 20 klasach podjęło wtedy 862 uczniów, a grono pedagogiczne liczyło 21 nauczycieli. To było pół wieku temu.

Sukcesy, które cieszą

Obecnie w budynku tym mieści się Zespół Szkół nr 4, którego dyrektorem jest Leszek Michalczak, znany nie tylko z długoletniej pracy nauczycielskiej, ale także z zamiłowania do sportu i turystyki.

- Wiele się przez te 50 lat zmieniło – mówi dyrektor. – Zespół składa się ze szkoły podstawowej i gimnazjum. Mamy 750 uczniów (55 - w oddziałach „0”, 440 – w szkole podstawowej, 255 – w gimnazjum). W 39 kołach zainteresowań uczestniczy 726 uczniów, a spośród nich znajduje się 53 laureatów wojewódzkich konkursów przedmiotowych. Kadra pedagogiczna składa się z 55 nauczycieli.

„Czwórka” to nie tylko wysoki poziom nauczania. Szkoła ta słynie z organizacji wielu konkursów dla własnych uczniów i dla środowiska, m.in. o tytuł mistrza ortografii szkół podstawowych miasta i gminy Kościan, powiatowego konkursu mitologicznego i powiatowego konkursu gwary wielkopolskiej. Leszek Michalczak cieszy się z sukcesów nauczycieli i uczniów:

- W szkole naszej pięknie rozwija się idea działalności charytatywnej. W ramach Wielkiej Loterii na rzecz chorych dzieci zebrano ponad 144 tys. zł, a na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy – 20 tys. zł. To duży sukces naszych uczniów i ich rodziców. Szkoła otrzymała Certyfikat Dobroczynności i została wpisana na listę 100 najhojniejszych instytucji w Polsce. Naprawdę jest z czego się cieszyć: nasz samorząd uczniowski zajął pierwsze miejsce w konkursie „Rola i miejsce Samorządu Uczniowskiego we współczesnej szkole”, w cyklicznych rajdach turystycznych uczestniczy przeciętnie 200 uczniów i nauczycieli, prężnie działa Uczniowski Klub Sportowy „Czwórka”, który szkoli młodych piłkarzy. Mógłbym tak wymieniać, i wymieniać.

Powojenny priorytet

Starania o tę właśnie szkołę zaczęły się zaraz po wojnie – w 1945 roku. Na pierwszy plan wysuwały się jednak inne, doraźne potrzeby – organizacja administracji i samorządów, odbudowa miasta ze zniszczeń, uruchomienie dawnych szkół, renowacja obrabowanych kościołów i fabryk, naprawa zdewastowanych dróg i ulic, ekshumacje zamordowanych przez nazistów mieszkańców powiatu. Ówczesne władze miasta i powiatu zdawały sobie sprawę z tego, że skoro tylko uporają się z bieżącymi sprawami odtwarzania życia polskiego w mieście i zbiorą niezbędne środki finansowe, to wtedy nowa szkoła umieszczona zostanie na pierwszym miejscu w

z kierownikiem biura przydziałnego Powiatowej Rady Narodowej obywatelem Tylińskim i prezesem Powiatowej Rady Związków Zawodowych obywatelem Matuszewskim, poczynił odpowiednie starania o przyjęcie wspomnianego gmachu szkolnego do 3-letniego państwowego planu inwestycyjnego”. W protokole z posiedzenia odnotowano także, iż budowa szkoły została pozytywnie załatwiona, a „sprawa ta rokuje dobre widoki powodzenia”.

Po dyskusji, w której wszyscy rajcy byli „za”, rada miejska podjęła uchwałę o zgłoszeniu zadania „Budowy nowej szkoły w Kościanie” do wojewódzkiego i krajowego planu inwe-



Leszek Michalczak – dyrektor kościańskiej „Czwórki”. Fot. z arch. szkolnego

stycyjnym. To był niewątpliwie powojenny priorytet. Marzenia zaczęły nabierać realnego kształtu.

18 listopada 1947 roku na nadzwyczajnym posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej, jej przewodniczący Ignacy Minta stwierdził, że kwestia budowy nowego gmachu szkolnego „specjalnie go interesuje i w tym też celu wspólnie

stycyjnego. Wniosek umotywowano następująco: „Obecne dwa gmachy szkolne muszą pomieścić 1 900 dzieci szkolnych, 300 uczestników kursów dokształcających i 416 uczniów średniej szkoły zawodowej. Nauka odbywa się w niektórych wypadkach na 3 zmiany, przez co dzieci wracają o godz. 19-tej do domu. W



▶ obecnym stanie przypada na jedną klasę 70 dzieci. Przez pobudowanie w mieście Kościanie nowej szkoły umożliwi się również dzieciom z okolicznych wsi, w których nie ma 8-klasowej szkoły, ukończenie szkoły III stopnia”.

Na plebańskiej łące

Architekci wskazali trzy miejsca lokalizacji szkoły: na posiadłościach miejskich przy ul. Poznańskiej (mniej więcej tam, gdzie znajduje się obecnie bazar), dalej – przy ul. Polnej oraz na gruncie kościelnym przy ówczesnej ul. Rolnej, naprzeciwko prywatnej olejarni. Władze miejskie wybrały trzeci wariant, co znaczy, że upatrzyły sobie, iż nowa szkoła powinna stanąć na plebańskiej łące, przy ulicy Rolnej i to był poważny błąd taktyczny. Nie przewidziano bowiem, że za kilkanaście tygodni gwałtownie zmieni się kurs partii i rządu wobec Kościoła katolickiego, nabierając jawnie agresywnych form.

Mając jednak zapewnienie władz województwa, że Kościan jest na pierwszym planie inwestycji oświatowych, ówczesny burmistrz miasta Jan Witkowski podjął działania na rzecz pozyskania kościelnych gruntów. Szybko doszło do porozumienia z proboszczem parafii farniej ks. Tomaszem Sworowskim i w błyskawicznym tempie załatwiono formalności prawne. I tak w lipcu 1948 roku Miejska Rada Narodowa podjęła ważną uchwałę:

„Mającą powstać nowa Publiczna Szkoła Powszechna pobudowana zostanie częściowo na gruncie miejskim i częściowo na gruncie, należącym do Kościoła Rzymsko – Katolickiego. Kościół Rzymsko – Katolicki oddaje Gminie Miasta Kościana pod budowę szkoły grunt przy ul. Rolnej (...) W zamian za wyżej wymieniony grunt uchwała Miejska Rada Narodowa przekazać Kościołowi Rzymsko – Katolickiemu w Kościanie grunty miejskie z terenu tzw. Błonie (...)”.

Rozpoczęto przygotowania – zgromadzono środki finansowe z dochodów powiatu i miasta, otwarto specjalne konto, zakupiono cegłę, żwir i cement, a uchwałą rady powołano Komitet Budowy Szkoły.

Bezpieka w akcji

W Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie

zawrzało. Konflikt między rządzącymi miastem i powiatem, a bezpieką systematycznie narastał. Pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Robotniczej Stefan Bech, z zawodu artysta plastyk i nauczyciel, a w czasie okupacji żołnierz Armii Krajowej, nie liczył się w ogóle z opiniami funkcjonariuszy UB. Ci zaś określali go jako radykała katolickiego, endeka, pozostającego w ciągłej komitywie z klerem. Donoszono do województwa, że zamiast pozyskiwać nowych członków partii, prześiaduje w kościołach, gdzie maluje „obrazki i freszki, a lud pracujący miast i wsi jest z tego powodu oburzony”.

Według opinii bezpieki inicjatorzy budowy szkoły nie gwarantowali jej świeckości, bo „wykazują tendencje klerykałno–nacjonalistyczne i działają przeciw woli naszej partii” i to była prawda. Bo kiedy rada miejska, nie wiedząc o powołaniu czterech komisji Komitetu Budowy Szkoły w ich składzie znalazły się w większości osoby „politycznie niepewne”. Szefem komisji finansowej został wójt gminy Kościan Teodor Walczak, a członkami Witold Piotrowski i Kazimierz Pietrzak. W komisji gospodarczej, którą kierował Ignacy Minta pracowali: przewodniczący rady parafialnej Wawrzyniec Czajka, wspomniany już Stefan Bech i przedsiębiorca prywatny Ignacy Richter. Komisji gospodarczej przewodniczył architekt miejski inż. Marian Smardz, a współpracowali z nim inżynierowie: Józef Bąk i Kazimierz Grzegorzczak. Pisząc w skrócie – o nową szkołę na pokościelnym gruncie zabiegali albo przedwojenni narodowcy, albo oficerowie Września 1939 roku, albo żołnierze konspiracji niepodległościowej, albo członkowie rady parafialnej.

Na tym tle wszystko bezpieką szczególnie drażnił skład komisji propagandowej. Przewodniczył jej narodowiec, nauczyciel, wiceburmistrz miasta Stanisław Buchert, jego zastępcą był proboszcz ks. Tomasz Sworowski, a członkiem Kazimierz Woźniak. Działo się to w połowie 1948 roku, a więc w czasie narastającego w kraju stalinizmu. W rezultacie tajne raporty UB doprowadziły do tego, że w sierpniu tamtego roku w większości odsunięto od władzy, pozbawiono stanowisk i funkcji ludzi zaangażowanych w budowę nowej szkoły i na dodatek z pełną świadomością wyrzucono tę inwestycję oświatową z planów.

Ostatnia zagrywka

Fatalnie zachowało się w tej sytuacji kierownictwo i niektórzy radni Powiatowej Rady Narodowej w Kościanie, którzy ulegli szantażowi bezpieki, bo kiedy sprawa dobiegała pozytywnego zakończenia, ni stąd, ni zowąd, 27 sierpnia 1948 roku rada powiatu na budżetowym posiedzeniu, nie uwzględniła szkoły, a w to miejsce do planu inwestycji wprowadziła budowę „Domu Społecznego”. Aby było perfidniej, memoriał w tej sprawie przedstawił jeden z gorących orędowników nowej szkoły.

W memoriale tym przeczytać można było m.in.:

„Przed wojną zorganizowana działalność społeczna miała w Kościanie do dyspozycji 3 wielkie sale ze scenami (dawniejsza Sokolnia, Hotel Warszawski, Hotel Lurca), Dom Strzelecki, aulę gimnazjalną i świetlicę przy każdej niemal organizacji czy stowarzyszeniu. Obecnie – wskutek zburzenia Hotelu Warszawskiego i zabudowań Lurca oraz zajęcia Domu Strzeleckiego przez Państwowe Poznańskie Zakłady Graficzne, jak również wskutek zmniejszenia liczby mieszkań, rozporządzamy tylko jedną salą ze sceną, a żadna z istniejących organizacji nie posiada świetlicy. Poza tym Powiatowa Rada Narodowa nie ma sali posiedzeń; w gmachu urzędowym brak pomieszczenia dla Biura Prezydyjnego Powiatowej Rady Narodowej. Ten stan rzeczy odbija się w wysokim stopniu na działalności kulturalno – społecznej i uniemożliwia wprost jej zorganizowane prowadzenie. Jest jeszcze drugi powód, mianowicie ten, że brak nam oddanych sprawie działaczy społecznych (...) Tymczasem w dobie demokracji ludowej, zmierzającej do ustroju socjalistycznego, trzeba nam położyć wielki nacisk na jak najszerzej pojęte i zorganizowane życie społeczne oraz dążyć do nadania mu możliwie najwyższych form (...)”.

W ten sposób na skwerze przy dworcu doszło ostatecznie do zbudowania... „Domu Partii”, w którym teraz mieści się szkoła muzyczna. Na długo oznaczało to koniec marzeń o nowej szkole. Czekano na nią 12 lat. „Czwórka” powstała w 1960 roku na tym samym miejscu, które „załatwiono” w 1948 roku w porozumieniu z parafią farną. (J.Z.)

Kiedy Jurek Zielonka za dzwonił do mnie w grudniu, z życzeniami świąteczno-noworocznymi i poprosił, bym napisała, jaki był Marian Koszewski; które cechy sprawiały, że był i nadal jest autorytetem i wzorem do naśladowania, także dla młodych ludzi, to wydawało mi się to takie proste.

Święty człowiek

Po pewnym czasie zaczęłam się zastanawiać, jak przedstawić całe bogactwo osobowości Marysia. Jeśli wymienię tylko cechy, które Go charakteryzowały, dodam jakies zapamiętane epizody z Jego życia, to będzie za mało. Utwierdziło mnie w tym przekonaniu przeczytane w chrześcijańskim miesięczniku wspomnienie o znanym księdzu, który był wielkim autorytetem, i dzięki któremu wielu młodych ludzi wybrało drogę kapłańską. Wspomnienie zawierało wszystkie najważniejsze dokonania i zalety księdza, ale dla mnie było tylko „suchą” relacją. Doszłam do wniosku, że nie potrafię napisać o Marysiu, jak On na to zasługuje. Tylko było mi przykro, że zawiodę Jurka. Już chciałam do Niego zadzwonić, ale nasunęła mi się myśl, że mogę przecież przytoczyć to, co napisali o Marianie autorzy wspomnień o Nim, które znalazły się w książce „Marian Koszewski (1923 – 2006)”. Świadczenia, tak pięknie spisane są najbardziej przekonujące. Wszyscy wiemy, jakim Wspaniałym, Pięknym Człowiekiem był Marian, ale dopiero po zestawieniu opisów Jego osoby, namacalna staje się Jego nieprzeciętność, wyjątkowość, świętość, realizowane w normalnym, codziennym życiu.

Postaram się teraz przedstawić najważniejsze przymioty charakteryzujące Mariana, o których piszą autorzy. Przewijają się w nich wiele niezwykłych cech. Autorzy podkreślają, że Marian był osobą godną szacunku, naśladowania i jest wzorem dla młodego pokolenia, autorytetem, że cieszył się szacunkiem i uznaniem w społeczeństwie Kościana. Patrząc teraz na to co wyżej napisałam i mogę tylko powiedzieć, że Marian dla mnie jest nie tylko AUTORYTETEM jest też



Marian Koszewski (w środku) na uroczystości nadania mu godności Honorowego Obywatela Miasta Kościana w 2005r. Fot. Bogdan Ludowicz

Marian

ŚWIĘTYM! On jest świętym naszych czasów! Był człowiekiem z krwi i kości, żyjącym zasadami swojej wiary wszędzie gdzie był: w domu, w pracy, w Towarzystwie Miłośników Ziemi Kościańskiej, na spotkaniach towarzyskich, na spacerach z dziećmi, na przejażdżkach rowerowych itd. Zupełnie niesamowite jest to nagromadzenie tylu wspaniałych cech w jednym, skromnym człowieku. Jak piękny i dobry byłby świat, gdybyśmy byli, choć w części, podobni do Mariana! Poniżej przedstawiam fragmenty z książki o Marianie, które pokazują bogactwo Jego cech charakteru.

„Był naszym przyjacielem”

Śp. Józef Świątkiewicz, historyk regionalista: „Marian Koszewski solidność pracownika umysłowego potrafił przenieść na działalność w Towarzystwie. (...) Robił to z bezinteresownym

oddaniem. Wcześniej odezwała się w nim dusza regionalisty, był człowiekiem zakochanym w swoim regionie. (...) O okresie okupacji niemieckiej w powiecie kościańskim miał wiedzę encyklopedyczną, która systematycznie pogłębiał...” Wiedzą dzielił się ze wszystkimi, którzy jej potrzebowali, wygłaszał także prelekcje w TMZK i w szkołach. Taką postawą zdobył wielki szacunek i uznanie w społeczeństwie. Jestem przekonany, że znał go prawie każdy mieszkaniec Kościana. (...) Czułem się wyróżniony, że mogłem być przy nim, kiedy odwiedzaliśmy tragiczne miejsca II wojny w Jarogniewiczach czy w Forcie VII w Poznaniu.

Śp. dr Piotr Bauer i prof. Bogusław Polak: „Był naszym przyjacielem. Na niego zawsze można było liczyć. Dokładny i precyzyjny w dążeniu do prawdy historycznej, pracowity i zorganizowany w tej pracy jak mało kto, potrafił dotrzeć do nieznanymi dokumentów. ▶

➤ Dzielił się przy tym chętnie nie tylko własną wiedzą, ale także – co bywa rzadkością wśród badaczy – zebranymi przez siebie materiałami. W nim potwierdzała się stara prawda, że niekoniecznie trzeba być historykiem z wykształcenia, by znać dzieje ojczyzny; bo znajomość historii to w pierwszej kolejności powołanie i pasja.”

Jadwiga Czarna: „Miałam szczęście widzieć Jego nieustanny intelektualny wzrost. Rozległą wiedzę, szerokie czytanie w różnorodnej literaturze. Był zawsze przygotowany tematycznie i wnosił dodatkowe wiadomości do określonych zagadnień podczas wygłaszanych odczytów i wykładów. Imponowały słuchającym te podawane mimochodem, a tak często istotne przyczynki, które świadczyły o skrupulatnej pracowitości... niejednokrotnie wskazywał na dokument źródłowy lub literaturę, które były przedmiotem moich zainteresowań - gdy natrafiał na nie podczas dociekliwych badań. Mogę się tylko domyślać, że w taki sam sposób pomagał również innym. Był przyjazny wobec ludzi. Otwarty na innych, ich poglądy i przekonania. Sam pozostawał przy własnych, których jednak nikomu nie narzucał. Jego orientacja duchowa była klarowna; był głęboko religijny.(...)”

Trudno było nie kochać go

Ewa Karpińska: „Wspaniały, Mądry Człowiek, Dobry, Wierny Przyjaciel. (...) Pamiętam, że gdy czegoś nie rozumiałam albo nie potrafiłam zrobić kierownik mówił, że tylko Marian Koszewski to wszystko zna i rozumie. Maryś był wtedy kierownikiem działu zatrudnienia i płac Cukrowni „Kościan”. (...) Zwróciłam się wtedy do Marysia, który mi prosto i jasno wszystko wytłumaczył. Ta korekta była zmorą dla zatrudnieniowców w całej Polsce, ale nie dla Marysia.(...)”

Kilku najlepszych fachowców z cukrowni zatrudniono w Zarządzie, wśród nich Marysia, który był głównym filarem działu zatrudnienia i płac. Przeniesienie do Poznania było wielkim uznaniem dla Jego wiedzy i kompetencji. Odtąd, aż do przejścia

na wcześniejszą emeryturę w roku 1980, Maryś codziennie dojeżdżał z Kościana do pracy. Był to na pewno duży wysiłek, ale nigdy nie słyszałam, by narzekał... Dopiero później dowiedziałam się o jego pobytach w obozach koncentracyjnych i całej wojennej historii, więc nie dziwiłam się mocy jego ducha. (...) Był zawsze opanowany, spokojny, pogodny i niezwykle dla wszystkich życzliwy. Nigdy nie dał ponieść się emocjom i nie pamiętam, żeby choć jedno wypowiedziane przez Niego słowo „upadło na ziemię”. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek powiedział o kimś coś negatywnego. Myślę, że to wartości zaszczone w domu rodzinnym, potem straszne wojenne przeżycia i głęboka, świadoma wiara dawała mu taką moc bycia w pełni Człowiekiem. Bardzo cenił Mariana Witolda Hempowicz, zastępcę dyrektora ds. ekonomicznych, który najchętniej wyjeżdżał właśnie z nim do cukrowni, dla załatwienia różnych spraw.(...)

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych Maryś przeszedł do naszego działu. (...) Przyjście Marysia wszystko unormowało. Oczywiście przejął wszystkie najważniejsze sprawy i dział zaczął właściwie pracować. Maryś dobrze znał przemysł cukrowniczy i wszystkie w nim występujące zależności, więc nie musiał trudzić się nad wejściem w nową specyfikę pracy działu. Siedzieliśmy przez wiele lat naprzeciwko siebie i poznałam, jak bardzo był pracowity. Nigdy nie odkładał na później żadnej pracy, od razu ją wykonywał, nic nie było problemem. (...)

Mimo swoich zawodowych osiągnięć Maryś nie awansował na żadne kierownicze stanowisko odkąd przeszedł do pracy w Poznaniu, ale nie należał do PZPR, a poza tym był skromnym człowiekiem, nieubiegającym się o zaszczyty i stanowiska, niczego nie domagał się dla siebie, Był wierny wartościom, które były dla niego najważniejsze: Rodzina, Bóg, Ojczyzna. No, i ukochane Towarzystwo Miłośników Ziemi Kościańskiej. (...)

Trudno było nie kochać Marysia za jego mądrość, dobroć, uczciwość i prawość. Wspólnie zakładaliśmy „Solidarność” w przedsiębiorstwie w 1980 roku. (...) Maryś wspomagał nas radą, doradzał, wyjeżdżał na ogólnopolskie spotkania, ale zdecydował się na przejście na wcześniejszą emeryturę. Kiedy wpro-

wadzono stan wojenny, Jego nie było z nami i nie miał nas już kto pocieszać.(...) W pewnym momencie Maryś zaczął przyjeżdżać ze swoim pierwszym wnukiem Miłoszem, synem Joli i Zenka. Maryś bardzo cieszył się z niego. (...).”

Tato

Syn Jan Koszewski: „Przechowuję w pamięci obraz Taty powracającego rowerem z pracy w cukrowni, kiedy pracował jeszcze w Kościanie. (...) W niedzielne popołudnie gościł rodzinę; na stole lądowała kawa i słodkie. Z dziadkiem Józefem - ojcem mamy i jej bratem Jurkiem namiętnie grywali w skata. (...) Chodziliśmy na długie spacerki niedzielne, prawie aż do żelaznego mostu kolejki pod lasem bonikowskim. Kiedy zwracał się zdecydowanie, a czasem głośno do moich dwóch starszych siostr, wydawał mi się bardzo surowy. (...) Tata kojarzy mi się z pisaniem. Na pytanie: „Tata, co robisz?” padała najczęściej odpowiedź „Piszę”. Pisał kiedy był sam, kiedy przychodził ktoś z rodziny, a nawet kiedy wychodził z domu i mówił, że idzie „pisać na Ducha”. (...) Bardzo troszczył się o nasz dom. Udoskonalał go przy każdej okazji, robił to dla nas, dla córek i syna.. Wspólnie pielęgnowaliśmy ogród, kopaliśmy, grabiliśmy i sialiśmy. Tato namawiał nas na obozy i kolonie organizowane przez cukrownię. Gdzieśmy nie byli - nad morzem, w Poroninie, nad Warta w Czaprach. (...)

W więzieniu w Forcie VII w Poznaniu złożył przyrzeczenie towarzyszom niedoli, którzy szli na śmierć, że będzie o nich pamiętać. Słowa dotrzymał i do końca pracował ze stryjem Jurkiem, badali i publikowali losy wielu osób w czasie II wojny światowej, szczególnie tych którzy polegli. Tato miał drugie przyrzeczenie związane z jego własnym wojenno-obozowym losem. Przyrzekł sobie, że jeśli dożyje szczęśliwie końca wojny, w dowód wdzięczności będzie uczestniczył co roku w pielgrzymce do Oborzysk Starych. Pamiętam, że odbywał pielgrzymki nie tylko tam, ale pociągiem jeździł do sanktuarium w Górze Duchownej. Później w latach 80. chyba dwa razy poszedł na pieszą pielgrzymkę do Częstochowy. Był bardzo wierzący. Przeżycia obozowe wzmocniły jego religijność.

Córka Maria Koszewska (Rysia, mała siostra Jezusa): „Kiedy myśla-

wracam do rodzinnego domu ukazuje mi się obraz ojca, który klęczy przy łóżku i modli się. Twarz trzyma ukrytą w dłoniach. Tak było każdego ranka i każdego wieczoru przed położeniem się na spoczynek. (...) Wydawało mi się, że modli się bardzo długo (...) Wzrastalam w przeświadczeniu, że modlitwa jest ojcu tak potrzebna, jak każda codzienna czynność ranna czy wieczorna. Rano, zaraz po skończonej modlitwie, szedł do kuchni i włączał radio. Słuchał pierwszych wiadomości, bo żywo interesował się tym co się działo w świecie i w Kościele. Systematycznie słuchał Radia Watykańskiego i był stałym czytelnikiem „Tygodnika Powszechnego”.

Wszechstronny autorytet

Agnieszka Wizerkaniuk: Już jako dzieci miałyśmy świadomość społecznej działalności wujka. Może o tym zaświadczyć zdanie, jakie (...) wygłosiła Ala, zwracając się do ciotki Basi: „A Twój Maryś, to pewnie na jakimś zebraniu”. Zwykle były to zebrania Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej, której siedziba mieściła się przez długi czas dwie ulice dalej przy Św. Ducha w mieszkaniu moich dziadków Stanisławy i Józefa Zielonków. Ich najmłodszy syn, a nasz wuj Jerzy za sprawą Mariana połknął bakcyła regionalizmu i już jako młody człowiek, student ekonomii, zaczął badać historię naszej małej ojczyzny, a zwłaszcza wojenne losy ludzi dokumenty związane z miejscami kaźni.

Czasem wuj był „gościem w domu”, ale kiedy już w nim był to pisał lub studiował jakieś dokumenty albo też rozbudowywał posesję przy Poznańskiej 18. Wówczas w stroju roboczym, w czapce „leninówce” sam mieszał zaprawę murarską i wylewał cement. Pamiętam wujka Mariana na rowerze w charakterystycznej czapce furazerce, wiatrówece i spodniach z popeliny z nogawkami spiętymi klamrami, aby nie wkręciły się w łańcuch roweru udającego się na objazdówkę po Ziemi Kościańskiej. Odwiedzał wtedy Turew, Rąbiń, Wyскоść, Kopaszewo odwiedzał stare cmentarze i wiele innych tajemniczych miejsc.

Ich dom zawsze był otwarty, zwłaszcza dla osób starszych i wszystkich

potrzebujących i to nie tylko z rodziny. (...) Wszyscy znajdowali tu dobre słowo, ciepłą strawę, słowem to czego oczekiwali. W tym domu największą wartością był bliźni i głęboko pojęty chrześcijański humanizm.

Szwagier i przyjaciel Jerzy Zielonka: „Autorytet. Według słowników języka polskiego pojęcie to oznacza człowieka o uznanej powadze, wpływie, znaczeniu. Inaczej - osobę, cieszącą się w opinii ludzi szczególnym uznaniem, poważaniem. Jeszcze inaczej - człowieka, którego inni szanują i który zarazem potrafi wywierać wpływ na ich działania. Lektura tej książki potwierdza, że Marian Koszewski był i pozostaje autorytetem wszechstronnym, zarówno w życiu

prywatnym, jako też w pracy dla dobra publicznego. Szczęśliwy ten, który mógł Go spotkać na swojej drodze Ze wspomnień jego przyjaciół i znajomych przebija żal po utracie Autorytetu, niektórzy pesymistycznie wyznają, że takich jak on już nie ma i nie będzie. Optyka Marianka był inna. Twierdził, mianowicie, że autorytety są i będą, przetrwają nawet najgorsze czasy; trzeba tylko umieć je dostrzegać i nie niszczyć bezsensownie. A aby je dostrzec trzeba zapewne osiągnąć poziom jego równowagi życiowej i posiadać umiejętność krytycznego, zarazem życzliwego i sprawiedliwego oceniania ludzi.

EWAKARPIŃSKA

Dobry patron

Pan Marian Koszewski jest dobrym patronem dla naszej szkoły z wielu względów:

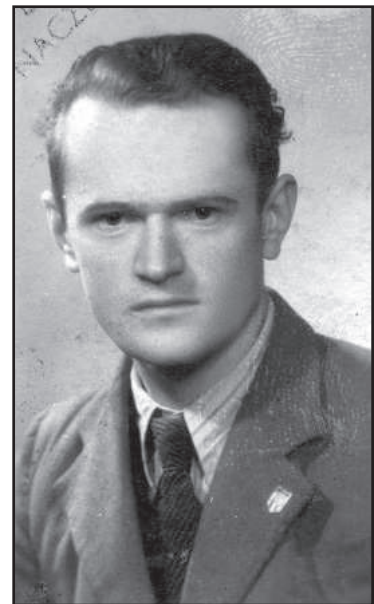
- urodził się w Kościanie - mieście które ukochał, i z którym związał całe życie,
- wielokrotnie dał świadectwo patriotyzmu i przywiązania do „małej ojczyzny”,
- doświadczył prześladowań ze strony hitlerowców za udział w konspiracyjnej organizacji „Pakt Czterech”, który stał się patriotyczną formą sprzeciwu młodego człowieka wobec zła,
- z ogromnym zaangażowaniem upamiętniał ofiary hitlerowców,
- jego pasją był regionalizm, który

umiejętnie godził z obowiązkami wobec rodziny i pracą zawodową,

- dobrze poznał i popularyzował wiedzę o okupacji hitlerowskiej na Ziemi Kościańskiej oraz o historii regionu,
- był autorem i współautorem wielu artykułów i książek regionalnych,
- potrafił przewyciężyć bolesne przeżycia obozowe i - nie popadając w nienawiść oraz chęć rewanżu - opisać je w książce pt. „Pamięć”,
- umiał – co jest szczególnie ważne w dzisiejszych czasach – współpracować z innymi ludźmi,
- był człowiekiem, którego cechowały: autentyczna religijność, zaangażowanie dla dobra wspólnego, życzliwość dla innych, pracowitość i skromność,

Młodzi i starsi mieszkańcy Ziemi Kościańskiej mogą korzystać z działalności, postawy życiowej i doświadczeń Mariana Koszewskiego.

LESZEK KĘDZIERSKI



Marian Koszewski (1923-2006).
Fot. ze zb. AP w Lesznie



Bohaterka artykułu na łowach

Fot. Bogdan Ludowicz

„Wszystko zaczęło się od Bąbla”

- Pies przeciętnie żyje 12-15 lat. Kiedy odchodzi żałuję, że był ze mną tak krótko, że to już koniec, a przecież rozumieliśmy się w pół słowa. Z drugiej strony – jest tak wiele ras psów - ciekawych nie tyle z powodu wyglądu, ale psychiki, że życia nie wystarczy, by poznać przynajmniej te kilka, które mnie najbardziej intrygują – mówi Hanna Hubaj-Ludowicz.

Hodowla psów jest twoją pasją, a wszystko zaczęło się od Bąbla.

- Hodowla psów nie jest sposobem na życie. Jest to takie samo „kół-

ko zainteresowań” jak np. zbieranie znaczków. Różnica polega na tym, że w przypadku psów mamy do czynienia z żywymi, czującymi istotami. Należałam

do tej grupy dzieci, które znosiły do domu ptaki, które wypadły z gniazd, przygarniały koty i psy, i ciągle marudziły „mamo, kup mi pieska!”. W końcu udało mi się „załatwić sobie” psa – Bąbel był ofiarą wprowadzenia kartek na mięso, zgarnęła go z ulicy moja koleżanka, przyprowadziła do mnie i tak sobie szczęśliwie żyliśmy póki nie wyszłam za mąż i nie wyjechałam z Wrocławia.

Potem był Czoper...

- Niestety Bąbel musiał zostać z mamą, jako że u pana męża królowała wtedy złoty cocker spaniel Czoper nie znoszący żadnej konkurencji. Psy żyją zbyt krótko, przyszedł kres i na Czopera. Przeprowadziliśmy się wtedy do bloków i po pracy byłam w domu sama. „Kupimy psa” oznajmiłam panu mężowi, „Dobrze, ale gordona”. „Pokaż mi, nie na zdjęciu, żywego” Dzisiaj wiem, że miałam dużo szczęścia, bo w Kościanie była jedna suka tej rasy, u pana Maksymiliana Talara. Mało tego, w hodowli, z której pochodziła były jeszcze – podrośnięte nieco, bo 8 miesięczne – szczenięta. Hodowla była w Gostyniu, jeszcze tego samego wieczora miałam młodą gordonkę w domu. Rozstaliśmy się z nią trzy dni później – nie zaszczone szenie padło na parwowirozę.

Mimo tego dopięłaś w końcu swego, przyniosłaś do domu i gordonkę, i jamnika.

- Po trzech tygodniach znalazłam następną szczenię – tym razem w Poznaniu. Mieszkała z nami prawie trzy lata, była ulubienicą wszystkich dzieci na osiedlu. Seter szkocki gordon jest psem myśliwskim. Bogdan z suką tej rasy pana Nabiałczyka z Racotu polował na bażanty, stąd został mu sentyment. A mnie urzekł charakter tych psów, ich bezgraniczne przywiązanie do właściciela, łatwość szkolenia, łagodność, bardzo stabilna psychika, dobry temperament i wygląd. Życie jednak koryguje najbardziej przemyślane plany. Chciałam mieć psa, bo pana męża głównie w domu nie było. Potem nie było ani pana, ani suk – jeździli sobie na polowania, ja zostawałam w domu, rzadko mogłam pojechać z nimi. Jakoś jesienią łowczy wojewódzki Stanisław Grylewicz zrobił nad jeziorem w Dębcu Nowym imprezę dla rodzin myśliwych – i tam poznałam Ibisa – jamnika szorstkowłosego pana Stanisława Ratajczaka. Zamówiłam jamnicę u państwa Gachow-

skich w Poznaniu i po 10 miesiącach przywozłam do domu małego szczeniaka, który błyskawicznie podbił serca wszystkich domowników – w maju Paga skończy 16 lat. Kolejna suka rasy seter była wybitną piękną i namówieni przez znajomych zaczęliśmy jeździć na wystawy.

Jak wynika z twoich słów hodowla psów to zajęcie pracochłonne. A jakie psy hodujesz teraz?

- Nie tylko pracochłonne, ale wymagające jeszcze znacznych nakładów finansowych. Mówię tu o hodowli, nie o produkcji szceniaków. Najwięcej zadowolenia zawsze przynosiły mi informacje od właścicieli „moich” szceniaków, że piesek jest zdrowy, wesoły, wszyscy z nim się dobrze czują – jest mu po prostu dobrze w nowym domu. Teraz mamy przerwę w hodowli – suki są na zasłużonej emeryturze, jedyny w domu pies jest wykastrowany, więc w najbliższych latach nie będzie szceniaków. Mamy jamniki szorstkowłose i szkockie setery – są to psy myśliwskie i jako takie pomagały w polowaniach. Mimo cech właściwych dla rasy każda z suk jest inna, a pies, z racji płci, różni się jeszcze bardziej. Oczywiście, że dla mnie wszystkie psy są równie ważne, choć ich pozycja w stadzie nie może być taka sama. One swoje miejsca wypracowały same i raczej stanowczo ich pilnują.

Czy psy tej rasy wymagają szczególnych zabiegów pielęgnacyjnych?

Opieka nad każdym zwierzęciem – czy w domu, czy na podwórzu – wymaga profilaktyki, właściwego żywienia i postępowania. Setery trzeba czesać, przycinać włos na łapach i w okolicach uszu. Robi się to, by ułatwić życie zwierzętom, bo śnieg i błoto nie gromadzą się w długich włosach na łapach, a zwisłe uszy są lepiej wietrzone. Najwięcej szkody samym zwierzętom przynoszą pokutujące wśród właścicieli opinie, np. „każda suka musi mieć choć raz szczeniaka”. Nieprawda, nie musi. Jakoś łatwo przyszło nam, narodowi kochającemu konie, oswoić się z myślą o kastracji ogierów. Natomiast kastracja psów budzi ogromny sprzeciw. Każdemu zwolennikowi tej opinii proponuję wycieczkę do najbliższego schroniska dla zwierząt.

Poza wiedzą praktyczną, posiadasz również teoretyczną – jesteś sędzią kynologicznym. Co trzeba zrobić aby uzyskać takie uprawnienia?

- W latach 90. ub. wieku tworzył się leszczyński oddział Związku Kynologicznego w Polsce. Namówiona przez ówczesnego – i obecnego – szefa oddziału, pana Janusza Bettinga – zdałam egzamin asystencki, zaczęłam jeździć na wystawy już nie tylko jako wystawca, ale również na staż. Te sprawy regulują stosowne regulaminy ZKwP. W skrócie wygląda to tak: trzeba minimum dwa lata pracować w oddziale związku, zdać egzamin asystencki, odbyć staż i zdać egzamin. Miło jest, gdy sędzia posiada psy rasowe, ma z nimi jakieś osiągnięcia – ale nie jest to konieczne.

Konkursy pracy psów myśliwskich – to kierunek, który szczególnie cię zainteresował?

- Jakoś w tym samym czasie wpadliśmy na pomysł, żeby zintegrować środowisko właścicieli seterów. Zorganizowaliśmy kilka zlotów miłośników tych psów w Racocie, potem w Dębcu Nowym, bo Racot nie był w stanie nas pomieścić. Wtedy zaczęliśmy wydawać pismo „Pointer & Setter”. To było moje pierwsze zetknięcie się z dziennikarstwem i pracą redakcyjną. Potem z racji zainteresowań myśliwskich Bogdana zaczęliśmy jeździć na konkursy pracy psów myśliwskich. I to było to! Na bok odłożyłam wystawy, konkursy wciąż gnęły mnie bardzo, jako że na tych imprezach sprawdzana jest praca właściciela z psem, a nie, jak na wystawach, głównie jego wygląd. Oczywiście są konkursy pracy dla psów towarzyszących człowiekowi. Są świetne wyścigi zaprzęgów, jest taniec z psem, fly ball, agility, ale ponieważ poluję właśnie ten rodzaj konkursów mi najbardziej odpowiada.

Oprócz setera i jamnika jest jeszcze jakaś inna rasa, szczególnie cię interesująca?

- Przeciętnie pies żyje 12-15 lat. Kiedy odchodzi żałuję, że był ze mną tak krótko, że to już koniec, a przecież rozumieliśmy się w pół słowa. Z drugiej strony – jest tak wiele ras psów - ciekawych nie tyle z powodu wyglądu, ale psychiki, że życia nie wystarczy, by poznać przynajmniej te kilka, które mnie najbardziej intrygują. Może jeszcze kiedyś będę miała średniego pudła apricot, clumber spaniela czy dużego psa szwajcarskiego. Ale będzie z nami gordon i jamnik.

Czy w Kościanie lub okolicach są jakieś hodowle psów rasowych?

- Są - setery angielskie, beagle, charty. Ale najbardziej widoczne są psy, a raczej pozostałości po nich, które zwłaszcza teraz są szczególnie dokuczliwe. To naprawdę nie jest uciążliwe sprzątać kupkę swojego psa z chodnika. W Kościanie brakuje co prawda koszy przeznaczonych tylko na ten rodzaj odpadów, ale nie widzę problemów w wyrzuceniu foliówki z kupą do zwykłego kosza. Tak jak nieeleganckim jest wyrzucanie, gdzie popadnie, puszek po piwie, papierków po cukierkach czy opakowań po chipsach, tak równie źle o właścicielu psa świadczy udawanie, że nie wie, w jakim celu pies został wprowadzony na dwór.

A wystawy, wspólnie z waszymi wychowankami zdobyte trofea...

- Kiedyś nas to bardzo bawiło – kolejny medal, tytuł, puchar... Teraz, po prawie dwudziestu latach, widzę to troszkę inaczej. Wystawa jest jedyną okazją do zdobycia przez naszego psa czy sukę uprawnień hodowlanych. Przy okazji można się spotkać ze znajomymi, właścicielami „naszego” szczeniaka, ludźmi o takich samych zainteresowaniach. Ale od kiedy „odkryliśmy” konkursy ten rodzaj rywalizacji bardziej nas pociąga.

Wspominałaś o dziennikarstwie i pracy redakcyjnej, byłaś redaktorem naczelnym pisma „Psy myśliwskie”...

- Pod koniec lat 90. XX w. podczas wystawy klubowej wyżłów, gdzieś na południu Polski, w rozmowie ze znajomymi wypłynął temat stworzenia pisma poświęconego nie tylko wyżłom brytyjskim, o których pisaliśmy w „Pointer & Setter”. Jeszcze później z rozmów z myśliwymi, choć nie tylko z nimi, urodził się pomysł wydawania pisma poświęconego wszystkim rasom psów myśliwskich. Znaleźliśmy wydawcę – pasjonata myśliwego i psiarza, a przy tym właściciela prężnej firmy – pana Wiesława Stopę. Pierwszy numer dwumiesięcznika „Psy rasy myśliwskiej” ukazał się w czerwcu 2000 r., a mnie przypadło zajęcie redaktora naczelnego. Po kilku latach zmieniliśmy tytuł na „Psy myśliwskie”, trzy lata temu zmieniliśmy częstotliwość ukazywania się pisma na kwartalnik. W grudniu 2009 r.

ukazał się ostatni „papierowy” numer pisma i od tego czasu – powoli i z mozolem – pracujemy nad internetową wersją „Psów myśliwskich”.

Dziennikarstwo, prowadzenie pisma, to nie jest łatwe zajęcie.

- Praca wymagała wielu wyjazdów, ale dzięki niej poznałam wielu fantastycznych ludzi, głównie związanych ze środowiskiem myśliwych i kynologów. Jednak najbardziej cenię sobie spotkanie z profesorem Miodkiem, którego udało mi się namówić na napisanie materiału do naszego pisma. Do dziś, mimo że pisma nie ma na rynku, utrzymuję żywy kontakt z czytelnikami. Po latach okazało się, że najbardziej cenne były materiały dotyczące szkolenia psów i weterynarii. W oparciu o materiały zamieszczone w PM powstało kilka prac licencjackich i magisterskich, pismo pośrednio przyczyniło się do popularyzacji polskiej rasy psów myśliwskich – gończego polskiego. Ciągłe wydajemy książki. Ostatnio z drukar-

ni wyszło VII wydanie „Psów myśliwskich” Andrzeja Brabletza. Tytułów było kilka i pracujemy nad dalszymi wznowieniami. A wracając do gazety, myślę, że jest przyszłość przed pismem o tej tematyce w formie elektronicznej. Każdy będzie sobie mógł wydrukować to, co go zainteresuje.

Świetnie gotujesz, krążą legendy o twoich potrawach kuchni staropolskiej i myśliwskiej.

- Ostatnio najbardziej denerwuje mnie to, że nie mam takiego pojemnika na karmę dla ludzi, z jakiego sypię psom jedzenie do ich misek. Życie byłoby łatwiejsze, więcej czasu miałabym na czytanie książek, oglądanie filmów czy włączenie się z psami po polach. Dzisiaj przyzwolite jedzenie wymaga wielu zabiegów: trzeba znaleźć masarza, który nie wrzuca do wędlin całej tablicy Mendelejewa; ogrodnika, który nie zastępuje swojej pracy chemią, producenta jajek, którego kury nie siedzą całe życie w klatkach itp. Lubię i chyba umiem gotować, najchętniej próbowałabym ciągle czegoś nowego. Niestety w domu przy stole siedzi ze

mną tradycjonalista, który kręci nosem na wszystkie nowinki i z założenia nie jada tego, czego nie jadł wcześniej. Tak więc kuchnia domowa jest bardzo tradycyjna, choć „odchudzona” z masła, śmietany i cukru.

Czy zdradzisz Czytelnikom przepis na ulubione danie?

- Zbliża się Wielkanoc, kiedyś już na łamach WK dzieliłam się prawie stuletnim przepisem na tort paszтетowy. Teraz proponuję przepis na błyskawiczną babkę cytrynową. Potrzebujemy: po szklance masła, mąki pszennej, mąki ziemniaczanej; 3 szklanki cukru, 4 jajka, 1 cytrynę, po jednym opakowaniu cukru waniliowego i proszku do pieczenia. Jajka miksujemy z cukrami i otartą z cytryny skórą, potem dodajemy obie mąki i proszek do pieczenia, sok z cytryny, na końcu stopione i przestudzone masło. Pieczemy w temp. ok. 180 stopni C przez 45 minut. Po przestudzeniu puszcza wodze fantazji i dekorujemy tym, co nam podpowiada i co znajdziemy w szpizarni.

KATARZYNA ŻUREK

Rowerem przez życie

Andrzej Kaleniewicz, kierownik Oddziału Turystyki w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Wielkopolskiego, jest znaną postacią w kręgu rowerzystów. W wywiadzie opowiada o hicie - szlakach rowerowych zapisanych w GPS-ach, elektronicznych przewodnikach turystycznych dla kierowców oraz wspomina swoje wyprawy rowerowe po Europie.

Szlaki rowerowe w Wielkopolsce nie kryją dla ciebie tajemnic, nie dość, że wszystkie zjeżdżałeś, to jeszcze sam oznakowałeś setki kilometrów dróg.

- Akcję rozpoczęliśmy w 2001r. od oznaczenia pierścienia szlaków rowerowych wokół Poznania. W 2002 r. udostępniliśmy Transwielkopolską Trasę Rowerową i jej odcinek północny z Poznania do Okonka, rok później południowy do Siemianic. W 2004 r. był gotowy Ziemiański Szlak Rowerowy. W 2005 i 2009 oddaliśmy do użytku wschodni i zachodni odcinek Nadwarciańskiego Szlaku Rowerowego. W Wielkopolsce istnieje około 5 tysięcy kilometrów ścieżek dla rowerzystów, z

tego w gestii urzędu marszałkowskiego czyli tzw. szlaków wojewódzkich jest 1,6 tys. kilometrów. Pozostałe 3,4 tys. utworzyły samorządy lokalne i one też się nimi opiekują.

Ile szlaków wojewódzkich przebiega przez powiat kościański?

- Z Poznania, przez Mosinę do Czempinia, potem pętlą do Krzywina, Rawicza, Kościana i z powrotem przez Czempin do Poznania biegnie urzekająca pięknem przyrody i małych miasteczek Ziemiański Szlak Rowerowy. Zanim zabraliśmy się do wytyczenia tej drogi uzgadnialiśmy projekt z administratorami terenu, rozmawialiśmy ze starostą kościańskim, burmistrzami oraz wójtem gminy Kościan. Bardzo dobrze nam się z nimi współpra-

cowało. Tak na marginesie dodam, że wójt gminy Kościan Henryk Bartoszewski jest dobrym - mało tego - on jest wybitnym rowerzystą. Tradycyjnie na otwarcie każdego nowego szlaku organizujemy ekstremalne jazdy testowe dla największych twardzieli. Uczestnicy mają do pokonania 200-300 km w jeden dzień. Wójt zaimponował mi tym, że przejechał z nami cały ziemiański szlak, czyli - bagatela - 245 km. Odtąd testował prawie każdy nowy szlak. Wójt ma pozytywne fioła na punkcie rowerów; robi bardzo dobrą robotę, buduje w gminie drogi grysowe, np. z Kościana do Racotu. One są tańsze niż asfaltowe i doskonale się spisują. Gminy, które narzekają, że asfalt jest za drogi, mogłyby pójść jego przykładem.

Samorządowcy chcą, by w powiecie kościańskim przybywało dróg rowerowych. Projekt „Rowerem w głąb dziejów południowej Wielkopolski - romantyczne trasy rowerowe Ziemi Kościańskiej” zakłada powstanie 10

nowych tras o ogólnej długości 290 km. Chcą nań pozyskać pieniądze z RPO.

- Proszę pamiętać, że tu nie chodzi tylko i wyłącznie o wygodę turystów, ale także o bezpieczeństwo mieszkańców, w tym dzieci, które rowerami dojeżdżają do szkół. Tak więc każdy taki pomysł – o ile oczywiście zostanie zrealizowany – cieszy mnie do kwadratu. Zwłaszcza, jeśli główny ciężar wydatków ponosi Unia Europejska, a nie wątle budżety naszych samorządów.

Departament wdraża nowe pomysły w dziedzinie rozwijania turystyki rowerowej?

- W tym roku zostanie przedłużony Szlak Bursztynowy. Obecnie prowadzi z Sycowa do drogi Rychwałd - Tuliszków, stamtąd pobiegnie niedługo przez Konin aż do jeziora Gopło i – tym sposobem - przetnie całą Wielkopolskę. W całości wejdzie do Wielkopolskiego Systemu Szlaków Rowerowych, przedłużając go o około 150 km. To będzie ostatni duży pomysł, jeśli chodzi o tworzenie nowych dróg rowerowych. Stawiamy na jakość, dlatego powoli przestajemy znakować kolejne szlaki. Wcale nie jest dobrze, kiedy jest za dużo tras, weźmy chociażby Puszcę Zielonkę, gdzie prawie na każdej ścieżce jest szlak, turysta w tej gęstwinie nie potrafi się już odnaleźć. Powoli zaczniemy odnawiać istniejące ścieżki, Ziemiański Szlak Rowerowy już wymaga odświeżenia. Co roku kolejną ścieżkę czeka remont.

Jeśli nie kolejne szlaki, to co? Dalsze rozwijanie dumy departamentu - projektu GPS Wielkopolska?

- Możemy się pochwalić, że jesteśmy pierwszym województwem w Polsce, które wprowadziło szlaki rowerowe do urządzeń nawigacyjnych GPS. W 2007r. opublikowaliśmy w Internecie ślady GPS wszystkich szlaków będących w WSSR. Pliki można bezpłatnie pobrać ze strony www.gpswielkopolska.pl, wystarczy posiadać odbiornik GPS na rower. Rok później – i to jest naprawdę wielka sprawa – oddaliśmy do użytku dokładną mapę topograficzną GPS Wielkopolska w skali 1:50 000. Rowerzyści mogą ją pobrać i zaplanować podróż rowerem niekoniernie po szlakach turystycznych. I znowu jesteśmy pierwszym i – jak na razie – jedynym województwem w Pol-



Andrzej Kaleniewicz.

Fot. arch. A. Kaleniewicza

sce, które opracowało taką mapę. A wszystko dzięki temu, że marszałek województwa jest właścicielem mapy cyfrowej, którą otrzymał nieodpłatnie od wojewody. Jak tylko się o tym dowiedziałem, poprosiłem, żeby nam tę mapę pozwolono przekonwertować na format GPS. Jest bardziej szczegółowa od map wojskowych, wykorzystaliśmy zaledwie część informacji.

Mapę można również za darmo pobrać z Internetu?

- Mapa jest za darmo, ale nieco skomplikowana jest sytuacja z programem do jej obsługi. 95 proc. rynku na GPS-y rowerowe posiada firma Garmin. Do niedawna jej program Map-

Source był do ściągnięcia bezpłatnie. Teraz Garmin dodaje ten program do każdego urządzenia, które się u nich kupuje. Tak czy inaczej, każdy właściciel legalnie zakupionego odbiornika GPS ma ten program, więc i możliwość korzystania z naszej oferty.

Czy jest zainteresowanie elektronicznymi gadżetami, rowerzyści wolą GPS od pocziwej papierowej mapy?

- Liczniki na stronie internetowej dowodzą, że pomysł się przyjął. Szlak ziemiański do tej pory pobrało 340 osób, popularny pierścień dookoła Poznania



► aż 1400. Powoli, acz systematycznie pojawiają się ślady GPS dla innych wielkopolskich szlaków, np. Żerkowsko-Czeszewska Ósemka, Szlak Miodowy. W wolnym czasie jeżdżę rowerem i GPS-uję gminne szlaki, a ślady przesyłam gminom, które potem umieszczają je na swoich stronach internetowych. I tak na przykład gminy Sieraków, Przemęt, czy Konin posiadają szlaki w GPS. Myślę, że śladów gminnych szlaków będzie przybywało.

Mówimy o rowerzystach, ale projekt GPS Wielkopolska wprowadziliście także dla kierowców.

- Na ostatnich targach turystycznych wydaliśmy przewodnik GPS dla kierowców. Projekt jest w fazie testów, można pobrać bezpłatny program do nawigacji obejmujący Trasę Kórnicką (80 km) z Poznania przez Wielkopolski Park Narodowy, Kórnik, Rogalin i Puszczykowo oraz Szlak Piastowski z Poznania do granicy województwa koło Trzemeszna i z powrotem (200 km). Do GPS samochodowego, który powinien działać pod systemem Windows, wgrywa się program nawigacyjny. Tym samym kierowca otrzymuje jednocześnie możliwość standardowej nawigacji oraz – co jest bardzo fajne – rodzaj elektronicznego przewodnika turystycznego. Jeśli kierowca zbliża się do interesującego miejsca, np. Muzeum Łowiectwa w Uzarzewie, pojawia się komunikat krajoznawczy, który można odsłuchać lub przeczytać. Komunikaty czyta Tomasz Knapik, znany lektor filmowy. 20 komunikatów wgrano dla Trasy Kórnickiej i 60 dla Szlaku Piastowskiego. Projekt dla kierowców cieszy się większym zainteresowaniem niż dla rowerzystów, chociażby z powodu większej liczby tych pierwszych. Zanotowaliśmy tysiące odsłon i pobrania tych plików. W przyszłym roku planujemy kupić od firmy Navigo mapę całej Wielkopolski. Komunikatów krajoznawczych będzie wtedy około 200.

Musicie być sołą w oku dla wydawców papierowych przewodników.

- To prawda, ściągamy na siebie gniew firm kartograficznych i wydawców przewodników turystycznych. W Wielkopolsce raczej nie zarobią na

kartografii cyfrowej, bo nasza informacja jest darmowa – robimy to „pro publico bono”. Poza tym wszystko co do tej pory zrealizowaliśmy, oprócz projektu GPS dla kierowców, nie kosztowało urzędu złamanego grosza.

Z sukcesem łączysz pasję z pracą. Kiedy pierwszy raz wsiadłeś na rower?

- Wcześniej. Wychowywałem się w Kaliszu, gdzie jeździłem sportowo z młodzikami. Jednak poważny wypadek wyeliminował mnie z kolarstwa. Miałem 14 lat, rodzice zabronili mi jazdy na rowerze, ale na nic się zdały zakazy. Babcia kupiła mi rower i w tajemnicy jeździłem nim następne 4 lata. Kiedy miałem 18 lat, w dzień urodzin wyszedłem z rowerowego podziemia.

Zjeździłeś rowerem kawał świata, która wyprawa najbardziej zapadła ci w pamięci?

- Na Islandię w 1997r. Z poznańskim globtroterem Michałem Żebrowskim objechaliśmy pół Islandii. Nie byłby to nadzwyczajny wyczyn, ale przejechaliśmy przez środek wyspy, na co mało kto się ośmiela. Byliśmy chyba pierwszymi lub jednymi z pierwszych, którym się to udało. Wewnątrz wyspy nie ma życia, brak łączności ze światem, trzeba sobie samemu radzić. I tak przez 500 kilometrów pustkowia.

...Bez GPS

- ...GPS działał, ale to mała pociecha.

500 kilometrów przy twoich możliwościach zabrało ci najwyżej kilka dni?

- Więcej. Tam się nie jeździ łatwo. Pokonanie wyspy zajęło ponad miesiąc. Droga, którą przejechaliśmy interior, nazywa się Kjöllur, słusznie zwana potocznie killerem. Wredny wiatr, przenikliwe zimno, deszcz padający kilkanaście razy dziennie, nieustanne wyboje i coś najgorszego - wulkaniczne błoto, które oblepia opony. Jechaliśmy przez kosmiczny krajobraz, składający się głównie ze skał wulkanicznych i wielkich lodowców. Wokół niezmiernie duża przestrzeń. Krajobraz widoczny w odległości 100 km. Cały dzień pedałowania i nawet nie dojechaliśmy do stożka wulkanicznego, na który patrzyliśmy od rana. Sami w środku wyspy mogliśmy polegać tylko na sobie. Gdyby zepsuł się rower, to katastrofa. Sklepy rowerowe są tylko dwa, jeden w Reykiavíku i drugi gdzieś

na północy. Ale niby jak do nich dojechać?

I co, zgodnie z prawem Murphy'ego, że wszystko ulega rozkładowi w najmniej odpowiednim momencie nawaliły wam rowery?

- Aż tak źle nie było, ale jednego dnia zepsuł się palnik gazowy. Nie było nam do śmiechu, w nocy mróz, spanie w namiocie, a rano nie można napić się gorącej herbaty, ani czegoś upichcić. Jednak mieliśmy niesamowite szczęście. Na drugi dzień spotkaliśmy zwariowanego Brytyjczyka, malarza, który podróżował po wyspie starą wojskową karetką i malował krajobrazy. Zauważyliśmy u niego porzucony w kącie palnik, poprosiliśmy i dał go nam. W środku Islandii to wielki gest.

Dokąd się ostatnio zapędziłeś za granicę?

- Dwa lata temu z żoną zaliczyliśmy - wcale nie ekstremalną – podróż drogą rowerową wzdłuż Dunaju. Cała trasa liczy ponad 3 tys. km, my przejechaliśmy odcinek z Donaueschingen w Schwarzwaldzie do Belgradu czyli około 2 tys. km. bezkolizyjnej drogi przez Niemcy, Austrię, Słowację, przy której są tanie kempingi. Trasa do Słowacji jest chyba najbardziej luksusową drogą rowerową w Europie. Potem jest mniej wygodnie, dalej szlak biegnie dalej przez Węgry, Chorwację i Serbię. Chcielibyśmy kontynuować tę wyprawę, rozpocząć w Belgradzie i pojechać dalej aż do Morza Czarnego. Wtedy zaliczylibyśmy cały Dunaj.

TERESA MASŁOWSKA

*Andrzej Kaleniewicz (rocznik 1973) urodził się w Wałczu. Żona Natalia jest nauczycielką j. polskiego. Z wykształcenia magister filologii rosyjsko-angielskiej na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, z zamiłowania rowerzysta. W samorządzie województwa wielkopolskiego pracuje od początku jego istnienia. Obecnie jest kierownikiem Oddziału Turystyki w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Wielkopolskiego. Członek Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych. Autor wielu przewodników: głównie rowerowych, wydawanych przez firmy Topmapa, BiK, Pascal, napisał m.in. przewodnik po Poznaniu firmy Pascal. Publicysta. Pisze głównie na temat rowerów do „Gazety Wyborczej”, „Polska The Times”, „Rower-touru”). Współzałożyciel Akademickiego Klubu Turystyki Rowerowej „Cyklista” w Poznaniu. (tm)

Badał lawę na Jawie

Uwielbiał trudne zadania. Wulkany, które dla wielu są ostatnim miejscem, w którym chcieliby się znaleźć, były jego wyzwaniem. Aby je zbadać przemierzył większość kontynentów. Wszystkie swoje zapiski dokumentował w postaci publikacji naukowych, które dały mu uznanie i tytuły naukowe. Z jego odkryć korzystał m.in. nasz najsynniejszy geograf Eugeniusz Romer. Swoją ostatnią podróż doktor Maurycy Komorowicz zakończył nie na Jawie, Islandii, czy Sumatrze tylko w ... Czempiniu. 7 stycznia minęła 87. rocznica jego śmierci.

Od Islandii po Kanary

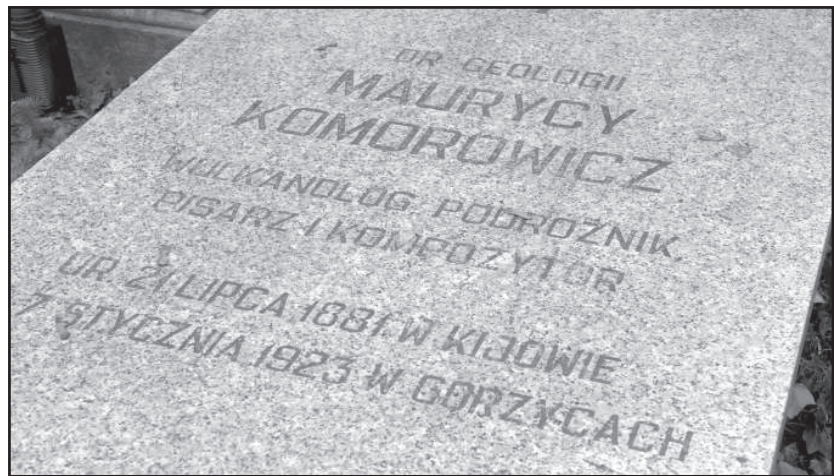
Maurycy Komorowicz, uznawany za pioniera polskiej wulkanologii, urodził się w Kijowie. Po ukończeniu gimnazjum i uzyskaniu świadectwa dojrzałości w Chyrowie w 1903r. wyjechał na studia do Monachium. Ostatecznie w 1912r. ukończył jednak Uniwersytet Berliński. Znaczna część pracy doktorskiej dotyczyła jego własnych badań i spostrzeżeń.

- Maurycy Komorowicz bardzo wcześnie rozpoczął wyprawy na wyspy Oceanu Atlantyckiego – twierdził nieżyjący już czempiniński regionalista Józef Świątkiewicz, który przed kilku laty odkrył dla grona miłośników historii regionalnej postać Maurycyego Komorowicza i jego związki z Czempiniem. – Dokładne informacje znamy, ponieważ z każdej z nich powstawała osobna publikacja. W ilustrowaniu jego książek pomagała mu żona Cecylia. Oboje w latach 1906 do 1909 odbyli trzymiesięczną podróż na Islandię, podczas której wchodzili w skład ekspedycji Niemieckiej Akademii Nauk. W tym samym składzie wyruszyli również na Maderę, Teneryfę, a także algierską Saharę. Na pustyni mieszkał wraz z żoną prawie dwa miesiące, a jeden z rozdziałów książki poświęcił opisowi geograficznemu Sahary oraz historii tego regionu. W 1909 r. wydał w języku niemieckim książkę popularnonaukową o zjawiskach wulkanicznych.

Książka ta była finałem jego kilkuletnich badań, a o ich randze może świadczyć fakt, iż Londyńskie Towarzystwo Geologiczne zaprosiło go na 100- lecie swego istnienia. W rok po obronie swojej pracy doktorskiej w 1913r. Maurycyego Komorowicza spotkał ogromny zaszczyt. W charakterze geologa rządowego wraz z żoną udał się do Indii Holenderskich. Celem tego wyjazdu było zbadanie przyczyn i zasięgu wstrząsów sejsmicznych, jakie miały miejsce w tym

rejonie kilka miesięcy wcześniej. Zadanie to zlecił mu rząd holenderski. Najpierw zamieszkał w Dżakarcie, później w Bogorie. Niestety wyjazd ten okazał się tragiczny dla wulkanologa. Po powrocie do Berlina

- Kiedy w początku listopada 1967 r. odwiedziłem Czempień i okolice, aby osobiście zapoznać się z miejscami związanymi z ostatnim okresem życia Maurycyego Komorowicza, niez-



Grób Komorowicza na cmentarzu parafialnym w Czempiniu.

Fot. Bogdan Ludowicz

zmarła jego żona, której zaszczodził tamtejszy klimat. On sam na Jawie zachorował na tropikalną chorobę, którą leczono silnymi środkami narkotycznymi.

Samotnik w Gorzycach

Maurycy Komorowicz coraz bardziej podpadał na zdrowiu. W 1919 r. uzależnionego od narkotyków wulkanologa zabrał z Berlina do swojego majątku w Gorzycach k. Czempinia, jego wuj Edward Horwatt. Tutaj przygotowano mu skromny pokój. Do końca swego życia planował jednak kolejne wyprawy. Niestety nie doszły one do skutku. 7 stycznia 1923 r. zmarł. Pochowano go na cmentarzu w Czempiniu. Kilkadziesiąt lat później postać Maurycyego Komorowicza przypominał w swojej publikacji „Prace Muzeum Ziemi” nr 15, cz. I, prof. Wojciech Narębski. Nie było mu jednak łatwo znaleźć informacje na temat wulkanologa. W zakończeniu opracowania prof. Narębskiego możemy przeczytać:

mieszkały dziś dom w Gorzycach chylił się ku ruinie, a grób wyróżnia się jedynie wielkim dębowym krzyżem – pisał prof. Narębski. – Zaledwie kilku najstarszych mieszkańców Gorzyc pamiętało dziwną dla nich i nieco tajemniczą postać samotnika z gorzycyckiego domu, o którego nieprzeciętnym dorobku naukowym i podróżach dowiedzieli się dopiero z ust piszącego te słowa.

W latach 80. z inicjatywy czempinińskich regionalistów oraz pomocy konserwatora wojewódzkiego mogiłę Maurycyego Komorowicza znajdującą się na cmentarzu parafialnym przykryła kamienna nagrobna płyta. Dom w Gorzycach, w którym spędził ostatnie lata życia już nie istnieje. Pamięć o tym wybitnym wulkanologu przetrwała jednak w świadomości miejscowych miłośników historii do dziś.

GERWAZY KONOPCZYŃSKI



Ppor. Stanisław Sikora z Sierakowa.

Fot. w zbiorach J. Zielonki

„Bolszewików trzeba pobić”

W tym roku mija 90. rocznica wojny polsko-bolszewickiej, która była ważnym wydarzeniem w historii Polski. Wielkopolska znajdowała się na dalekim zapleczu tej wojny, ale w walki zaangażowało się wiele jednostek wojskowych, w skład których wchodził Wielkopolskie, także synowie Ziemi Kościańskiej.

Skala obszaru działań w wojnie polsko-bolszewickiej wymagała sprawnego współdziałania z zapleczem frontu. Takie dalekie zaplecze znajdowało się właśnie m.in. w Wielkopolsce. Stanowiło rezerwar żołnierski, ale także to, co dzisiaj określamy logistyką. Pierwszoplanową sprawą było wyposażenie wojska we wszystkie rodzaje niezbędnego sprzętu, uzbrojenie amunicji, umundurowania, żywności oraz zabezpieczenia sanitarnego na obszarze objętym walkami, a także sieci szpitali na dalekich tyłach. Na zapleczu frontu tworzono także warunki dla pobytu uciekinierów z zagrożonych terenów.

Już w marcu 1919r. skierowano na pomoc do Lwowa oddziały wojskowe z Wielkopolski, w tym kompanię ochotniczą oraz grupę wojsk gen. Daniela Konarzewskiego. Jedną z kompanii dowodził ppor. Stanisław Sikora z Sierakowa koło Kościana. 3 kwietnia 1919r. wysłano szpital pod dowództwem śmigieńskiego lekarza dr. Emanuela Twórze. Po zwycięskich bojach w czerwcu 1919r. żołnierze wrócili do Wielkopolski. Już jednak pod koniec lipca tegoż roku grupę generała Konarzewskiego w nowym składzie wysłano na front litewsko-białoruski, gdzie walczyła w kolejnych miesiącach. Od marca 1920r. lotnictwo polskie obserwowało koncentrację wojsk bolszewickich, co potwierdził nasz wywiad. Bolszewicy zgromadzili 200 tys. żołnierzy w jednostkach bojowych. Ich plan przewidywał atak spod Połocka w kierunku Wilna, a uderzenie pomocnicze miało wiązać siły polskie na Ukrainie. Marszałek Piłsudski znając ten plan podjął działania wyprzedzające. Powiedział wówczas: „Jest prawdą, że bolszewików trzeba pobić, i to niedługo. Póki nie wzrosli w siłę”.

We wszystkich operacjach tej wojny znaczący udział miały jednostki wojskowe z Wielkopolski. Najwięcej żołnierzy pochodzących z powiatów kościańskiego i śmigieńskiego służyło w 6. pułku Strzelców Wlkp. (później 60 p.), a wielu żołnierzy pochodzących z rejonu Wielichowa było w szeregach 2. pułku Strzelców Wlkp. (później 56. pułk). Warto prześledzić ich szlak bojowy.

Boje wielkopolskich pułków

2. pułk Strzelców Wlkp. sformowano 16 marca 1919r. z dwunastu kompanii „Grupy Zachodniej”. Dowódcą mianowano wówczas ppor. Antoniego Nie-

boraka. Na początku września 1919r. pułk skierowano na front litewsko-białoruski, gdzie brał udział w działaniach skierowanych na Połock. W połowie października 1919r. zajął linie obronne na południe od Bobrujska nad rzekami Berezyną i Ptyczą i pozostawał tam do czerwca 1920r. cały czas walcząc z wrogiem m.in. w Szaciłkach, gdzie żołnierze spalili most na Berezynie i pod Jaktorowską Słobodą oraz w Stołpiszczach, a 3 czerwca 1920r. zdobyli 3 samochody pancerne i czołg. Ten dzień stał się datą święta pułkowego. W toku walk odwrotowych 20 lipca pułk stoczył zaciekle bój nad Szczarą. W wyniku natarcia przeprowadzonego 16 sierpnia rozbił na swoim przedpolu wojsko przeciwnika i przyczynił się do opanowania Garwolina. W pościgu za wrogiem 24 sierpnia dotarł do granicy Prus Wschodnich. Przerzucony w rejon Brześcia nad Bugiem w dniu 9 września walczył pod Żabinką, a w dniach 15-17 września zdobył Berezę, Bosiacz i Laskowo, zadając potężne straty wrogowi. W toku działań na wschodzie pułk wziął do niewoli 3786 jeńców, zdobył 27 dział, 233 karabiny maszynowe, 3 samochody pancerne, czołg. Straty pułku w zabitych wyniosły: 8 oficerów i 338 pozostałych żołnierzy. 6 grudnia 1920r. sztandar pułku został w Żelwie udekorowany przez marszałka J. Piłsudskiego krzyżem *Virtuti Militari* V klasy. Odznaczenie to otrzymało łącznie 46 oficerów i żołnierzy pułku, Krzyżem Walecznych odznaczono 377 żołnierzy.

Podobnie chwalebne było działanie 60. pułku Piechoty Wlkp., który 8 maja 1920r. skierowano na Wołyń. Zdobył tam m.in. Berdyczów. W tym samym miesiącu pułk przeniesiono i zajął miejsce nad Berezyną. Od 20 czerwca pułk wycofywał się w kierunku Brześcia, a następnie Warszawy i zajął pozycje pod Starą Miłosną. W ramach polskiej ofensywy żołnierze pułku nacierali w kierunku na Łomżę i Kolno, osiągając 28 sierpnia granicę Prus Wsch. W walkach ranny został dowódca pułku mjr Śliwiński. Po tych wydarzeniach pułk przerzucono w okolice Kamieńca Litewskiego, by prowadził działania w kierunku Wołkowyska. Na tych pozycjach zastał go rozejm zawarty 12 października 1920r. Do końca 1920r. pułk zajmował pozycje na linii rozejmowej, a następnie wrócił do Wielkopolski. Szlak bojowy został uświetniony licznymi mogiłami, a sztandar pułko-

wy i wielu żołnierzy wróciło z najwyższymi odznaczeniami.

Ofiarni kościaniacy

Teatr działań wojennych był oddalony o kilkaset kilometrów, ale społeczeństwo naszej ziemi doskonale zdawało sobie sprawę z wagi tego, co się działo na froncie. Dobitnie świadczyły o tym hasła w rodzaju: „Baczość Rodacy! Zwycięstwo na wschodzie gwarantuje bezpieczeństwo na zachodzie”. Albo inne: „Tylko tchórze nie wstępują do armii ochotniczej”.

Władze i organizacje społeczne urządzały wiece i spotkania, na których przedstawiano sytuację na froncie i apelowano o pomoc, w kościołach modlono się o zwycięstwo. 30 lipca starosta Raszewski wystosował odezwę o sprawie przyjmowania uciekinierów z terenów wschodnich oraz zdawania broni dla potrzeb wojennych. 2 sierpnia 1920r. w ogrodzie pana Lurca zgromadziło się 1500 osób na wiecu prowadzonym przez panią Serdecką, na potrzeby frontu zebrano 4720 marek. 17 sierpnia w Strzelnicy odbyło się zebranie mężczyzn w wieku od 16 do 50 lat. Ks. Bykowski z Bonikowa oraz ks. kapelan Kopeć zachęcali do wstępowania do armii ochotniczej, w efekcie do wojska zgłosiło się 150 ochotników. Kościan stał się siedzibą kilku szpitali polowych. Już 2 września 1920r. podkreślano patriotyczną postawę jednego z mieszkańców miasta:

„Czyn obywatelski. Dowódca szpitala w Kościanie nie mógł kilkuset rannych przetransportowanych jednej nocy umieścić w łóżkach i dlatego stara się o zakup łóżek. Pan Karol Swoboda mając stać na fabryce 84 łóżka i 52 sienniki ofiarował je jako dar narodowy dla tutejszego szpitala wojskowego. Wartość tych przedmiotów przekracza 10 tys. marek”.

16 grudnia 1920r. informowano, że „Gwiazdkę dla żołnierzy Domu Św. Zofii urządziło tutejsze progimnazjum. Zebrane przez siebie podarki wręczali uczniowie żołnierzom w towarzystwie profesorów i pań z Czerwonego Krzyża. Uciecha była wielka i darujących i obdarowanych., i śpiewy chórowe i deklamacje przyczyniły się tym więcej do serdecznego nastroju.”

O tym, że pomoc dla rannych i chorych żołnierzy była efektywna, świadczą podziękowania złożone przez dowód-

ców szpitali. Jeden z nich pisał 20 września 1920r.: „Ruchomy Szpital Polowy Dow. VI armii, odchodząc z Kościana składa w imieniu wszystkich chorych żołnierzy, którzy przez ten szpital przeszli najserdeczniejsze podziękowania Paniom z Czerwonego Krzyża za chętną i ofiarną, a co najważniejsze szybką i na każde wezwanie okazywaną pomoc. Pomoc ta przyczyniła się do ukrócenia czasu choroby niejednego żołnierza. Lepsze zaś odżywianie umożliwiające darami, skróciło czas powrotu do sił. Zachowując miłe wspomnienia wspólnej pracy z kościańskim Czerwonym Krzyżem, życzę paniom dalszego powodzenia na tej samej drodze, ku dobru żołnierza polskiego”.

Ciekawą kartą świadczą o zaangażowaniu społeczeństwa Ziemi Kościańskiej było utworzenie i funkcjonowanie od końca 1918r. do 1931r. ochronki w Choryni. Tak opisywała początek jej istnienia Józefa Chłapowska: „... obarczona zostałam 75 dziećmi z Mińska, dzieci głodne, chore z gorączką, okryte łachmanami, zjechały do Choryni. Mieliśmy dosłownie 60 łóżek, 150 prześcieradeł, 70 kołder, 100 miseczek, 40 kubków, trochę zapasów i wyżywienia, od Zarządu opał, ziemniaki i 20 litrów mleka na dzień...”.

Bezpośrednią opiekę nad dziećmi sprawowała Stanisława Forecka z Kórnika oraz Stefania Jaskólska z Mosiny, a ze strony ziemiaństwa Józefa Chłapowska, siostra Mieczysława Chłapowskiego z Kopaszewa. Kościańsko-śmigielskie koło Towarzystwo Ziemianek Wielkopolskich podjęło 9 grudnia 1919r. decyzję o opodatkowaniu majątków na rzecz przytułku.

Groby na szlaku

Groby poległych synów Ziemi Kościańskiej usiane są całym szlakiem bojowym jednostek wojskowych, w których pełnili służbę. Nie wszystkim rodzinom udało się sprowadzić ich ciała w ojczyście strony. W 1926r. odsłonięto w Kwaterze Obrońców Rzeczypospolitej okazały pomnik z nazwiskami 88 żołnierzy. Stan tej kwatery, pamięć o żołnierzach, którzy tam spoczywają dowodzi, że mimo dużego upływu czasu rozumiemy ich ofiarę. Z różnych przy-

czyn trudno dzisiaj ustalić pełną listę poległych żołnierzy, którzy pochodzili z Ziemi Kościańskiej. W parafii farnej w Kościanie w księgach zgonu z lat 1919/1920 jest odnotowanych dużo nazwisk żołnierzy zmarłych z ran w tutejszych szpitalach, ale w większości brak danych o miejscu ich urodzenia. Warto jednak przypomnieć niepełną listę poległych bohaterów. Wśród nich znajdują się żołnierze z następujących miejscowości:

Kościan: Szer. Władysław Dudek poległ 1.VI.1920r. pod Okołowem, plut. Kajetan Fabiańczyk z 57. p. p. Wlkp., poległ 30.VII.1920r. w walkach w okolicach Bobrujska, odznaczony Krzyżem Walecznych, Ignacy Kaliszewski poległ 14.VI.1920r. nad Berezyną, plut. Waclaw Skoracki z 60. p.p. Wlkp., zmarł w połowie lipca 1920r. w szpitalu w Nowogródku, st. sanitariusz 10. komp. 61. p.p. Wlkp., Józef Sebel zmarł w transporcie do Warsza-

wy w połowie lipca 1920r., Jarosław Skórnicki poległ na froncie wschodnim.

Czarkowo: Franciszek Grzybowski zm. 8.VI.1920r. w szpitalu polowym na Ukrainie.

Czempiń: kpr. Antoni Bródka z 15. p. Ułanów Wlkp., poległ 9.IX.1920r.

Jurkowo: Józef Kowalski zm. 21.VII.1920r. w pociągu sanitarnym „Szeptycki”, Kazimierz Kulig poległ 11.V.1920r. pod Kijowem.

Krzywiń: Seweryn Borowski poległ nad Berezyną, Franciszek Dziwak poległ pod Mińskiem, Henryk Grzybowski poległ nad Niemnem, Stefan Leszczyński poległ nad Dźwiną, Andrzej Pazoła, Józef Wojciechowski poległ pod Kijowem.

Lubiń: Ignacy Słotała poległ pod Bobrujskiem.

Nowy Lubosz: sierż. Stanisław Trzciniński poległ 30.VII.1920r.

Sierakowo: kpt. Stanisław Sikora, ciężko ranny w walkach nad rzeką Szczarą, zmarł 8.XII.1920r. w szpitalu w Poznaniu.

Świniec: szer. Stanisław Kurtek z załogi pociągu pancernego „Danuta” poległ 3.VI.1920r. w walkach nad rzeką Niedźwiedzicą, Stefan Tycner zm. 2.VII.1920r. w szpitalu w Wilnie.

Wielu żołnierzy, którzy urodzili się na Ziemi Kościańskiej w granicach dawnego powiatu istniejącego do 1932r., za bohaterstwo w walkach z bolszewikami odznaczono najwyższym wyróżnieniem, jakim jest krzyż orderu *Virtuti Militari*. Wśród nich znaleźli się: kpr. Antoni Bródka ur. w Czempiniu, gen. Kazimierz Grudzielski ur. w Turwi, gen. Zygmunt Łakiński ur. w Kościanie, kpt. Stefan May ur. w Kościanie, gen. Kazimierz Raszewski ur. w Jasieniu, kpt. Stanisław Sikora ur. w Sierakowie, kpt. Józef Stróżyk ur. w Kościanie, ppłk Franciszek Szyszka ur. w Donatowie, ppor. Marceli Żółtowski ur. w Jarogniewicach.

JAN PAWICKI

* Tekst ten jest fragmentem opracowania autora pt. „Mieszkańcy Ziemi Kościańskiej w wojnie polsko-bolszewickiej 1919/20”, które ukaże się drukiem w sierpniu tego roku.



Tuż przed startem.

Fot. z archiwum Ludwika Miśka

W konspiracji i w chmurach

Major WP Ludwik Miśiek, wiceprezes wielkopolskiego okręgu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, ujmuje łagodnością i cierpliwością od pierwszego spotkania. Ma poczucie humoru, cechuje go siła spokoju płynąca stąd, że wiele razy przychodziło mu brać się z losem za bary. Człowieka kształtują życiowe okoliczności; na niego piętno wywarły wojna i okupacja niemiecka oraz zamiłowanie do latania.

PIEKŁO W KOMARNIE

W 1939 r. Ludwik Miśiek miał 13 lat. Był najstarszy z piątki rodzeństwa. To jemu przypadła rola głowy rodziny w czasie ewakuacji na wschód. Ojciec Ignacy Miśiek, powstaniec wielkopolski, zawodowy podoficer WP poszedł na wojnę, walczył w składzie 70. pułku piechoty. 1 września w Pleszewie dla rodzin wojskowej kadry zawodowej podstawiono pociąg, który miał być wieżę w bezpieczne miejsce, z dala od wojennej pożogi. W dziewięć dni przejechali 1200 kilometrów. Na próżno. W Komarnie pociąg z kobietami i dziećmi namierzyły niemieckie bombowce.

- W bombardowaniu zginęło 116 z 280 osób z transportu. Ojciec wysłał mnie kiedyś na kurs Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, stąd wiedziałem jak należy zachować się w czasie nalotu. Kiedy rozpętało się piekło krzychałem do kobiet z dziećmi, by padły na ziemię, bo odłamki cięły jak kosą. Jeden z nich trafił mojego młodszego brata Janka. Powodowany ciekawością wychylił się i odprysk dosłownie rozłupał mu czaszkę. Po nalocie nastąpiła ciemność, a kiedy kurz opadł, wyłoniła się z niego niczym zjawa kobieta bez części ręki. Zabrałem od matki pasek i zawiązałem powyżej ramienia, żeby się nie

wykrwawiła. Była cała we krwi, bo za pazuchą trzymała odciętą rękę, miała nadzieję, że w szpitalu ją przyszyją – wspomina Ludwik Misiek.

Nazajutrz poszedł odnaleźć i pochować brata. Spotkany na cmentarzu grabarz szczerze mu to odradzał. Ale uparł się. Kiedy jednak odsunął siano, którym nakryto zbiorową mogiłę widok pokierszowanych zwłok i woń śmierci odrzuciła go. Po prostu - nie miał sił wejść do grobu.

Przez lata sprawa pochowania Janka nie dawała mu spokoju. Na początku lat 90. ub. wieku otwarto granice i mógł pojechać do Komarna, dzisiaj na Ukrainie. Odnalazł sanitariuszkę, która we wrześniu 1939 r. oczekiwała na transport rodzin z Pleszewa. Pomogła mu znaleźć miejsce masowego grobu. Trzęsącymi się ze wzruszenia rękami zapalił znicz i pomodlił się pierwszy raz nad grobem brata. Nie spoczął dopóki nie stanęła w tym miejscu tablica upamiętniająca ofiary tamtej katastrofy. W 2005 r. Rada Miejska Komarna zgodziła się na postawienie pomnika. Warunek był jeden - sporządzenie listy zabitych. Ludwik Misiek odtworzył 53 nazwiska.

W ZWZ/AK

Rodzina tułała się jakiś czas po wschodnich rubieżach, by w czerwcu 1940 r. wrócić do Wielkopolski, zamieszkali w Topoli Małej. Ojciec na nich czekał - sam ranny trafił do niemieckiej niewoli, ale uciekł z transportu do oflagu. Misiek senior zatrudnił się w mleczarni w Ostrowie Wlkp., konwojował mleko z wiosek do mleczarni. Praca ułatwiała działalność konspiracyjną, bo mógł w miarę swobodnie podróżować. Na początku był komendantem placówki wywiadowczej ZWZ/AK pod kryptonimem Przygodzice „Aluminium” w obwodzie Ostrów Wlkp., nawiązywał kontakty z innymi obwodami np. jarocińskim. Wkrótce w konspirację wciągnął syna.

- W 1942 r. ojciec załatwił mi na fałszywych papierach pracę w ostrowskiej mleczarni, zaraz też zacząłem mu pomagać. Po jednej z akcji dowództwo AK chciało mnie awansować na starszego strzelca rezerwy i okazało się, że nie jestem zaprzysiężony. Ojciec zaprowadził mnie do stodoły, która nawiasem mówiąc jeszcze stoi, zapytał czy chcę być żołnierzem AK. Chciałem. I to jak. Wyjął z kieszeni drewniany krzyżyk, na który położyłem dwa palce i powtarzałem za



Ludwik Misiek w siedzibie ŚZZAK w Poznaniu.

Fot. Teresa Masłowska

nim rotę przysięgi. To było wielkie przeżycie.

Ludwik Misiek wykonywał różne zadania dla placówki w Przygodzicach; był gońcem, kurierem, łącznikiem z sąsiednimi jednostkami AK – Jarocinem, Pleszewem. Pewnego razu otrzymał ważne polecenie - miał dostarczyć mapy potrzebne Armii Krajowej do wyznaczania placówek odbioru lotniczych zrzutów broni. Mapy zrzucono w Tursku w nocy z 14 na 15 września 1943 r. wraz z bronią dla Obwodu Jarocin (Pleszew) AK. Jego zadaniem było dostarczyć je do Ostrowa, gdzie już na nie czekał oficer zrutowy dla Okręgu Ostrów Jan Kamiński. Ludwik Misiek musiał przejechać 60 km. Odległość nie stanowiła problemu dla młodego łącznika, tylko zakaz przemieszczania się bez odpowiednich dokumentów. Zdjął z roweru białą opaskę, którą musieli przypinać Polacy i ruszył do Pleszewa. Dojechał. „Schody” zaczęły się w drodze powrotnej do Ostrowa. Ludwik Misiek opowiada tę historię, jakby działał się nie ponad 60 lat temu, a wczoraj:

- Leciłem jak na skrzydłach z mapami zwiniętymi w rulon i przypiętymi do roweru. We wsi Sobótka wyskoczyłem zza zakrętu i struchlałem - niemiecki punkt kontrolny. Pierwszy stał policjant, trochę dalej dwóch uzbrojonych żandarmów. Błyskawicznie oceniłem sytu-

ację: o wycofaniu nie było mowy, bo już mnie zauważyli, ucieczka w otwarte pole także nie wchodziła w grę, pozostało mi przejechać obok nich jakby nigdy nic. Mijając policjanta rzuciłem szybkie „Guten Tag”, bo „Heil Hitler” by mi nie przeszło przez gardło. Potem minąłem tych dwóch i czekałem na „halt”. Nic. Chyba nie przyszło im do głowy, że ktoś może być tak bezczelny. Odetchnąłem i pędziłem dalej.

W Ostrowie ostrzegł akowców przed niemiecką kontrolą, bo właśnie przez Sobótkę chcieli jechać ciężarówką pełną broni ze zrzutu. Po tej akcji i przeszkoleniu podoficerskim awansowano go na kaprała i powierzono funkcję dowódcy drużyny w Ośrodku Kedywu Ostrów.

Pożeganie z ojcem

W listopadzie 1944 r. aresztowano Ignacego Miśka. Wcześniej gestapo złożyło wizytę w mleczarni, przesłuchiwali syna. Po naciskach dyrektora zakładu, że jest potrzebny przy odbiorze mleka, puścili go wolno. Ojciec ostrzeżony o niebezpieczeństwie nie zgodził się na ucieczkę do lasu.

- Powiedział wtedy do mnie tak: - Niemcy myślą, że jest spokój, nie ma żadnej konspiracji. Pojechał do Raszkowa. Ale tam już na niego czekali. W czasie rewizji znaleźli orzełka z wojskowej czapki po-



Z rodzicami i rodzeństwem.

Fot. z archiwum Ludwika Miśka

lowej, to wystarczyło do aresztowania. Towarzysze broni chcieli go odjąć z aresztu w Raszkowie, znowu się nie zgodził. - W odwecie będą aresztowania - przekonywał. Taki był mój ojciec.

Ignacy Misiek zginął w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r. w czasie pożaru więzienia w Radogoszczu. Syn przypuszcza, że gestapowcy zacierając ślady zbrodniczej działalności podpalili więzienie tuż przed nacierającym frontem sowieckim. 11 listopada 1944 r. Ludwik ostatni raz widział ojca:

- Komendant referatu II wywiadu Inspektoratu Ostrowskiego Albin Glapa powiadomił mnie, że ojca będą przewozić koleją z więzienia gestapo w Ostrowie do Łodzi. Był wieczór, padał deszcz. Chodziłem w tę i z powrotem po ul. Kolejowej. Zobaczyłem grupę skutych więźniów, mijając mnie ojciec powiedział: - Zajmij się rodziną, bądź dobrej myśli.

Wojna zabrała mu ojca i brata, a jej koniec nie zapowiadał upragnionej wolności. Trudno było pogodzić się pogodzić z niemiecką okupacją, jeszcze trudniej z wrogiem, który mówi tym samym językiem:

- Moja wojenna przeszłość nie podobała się władzy ludowej. Kłopoty zaczęły się, gdy przyznałem się do akowskiej przeszłości. Egzamininy do Wyższej Szkoły Inżynierskiej zdałem bardzo dobrze, ale za pierwszym razem mnie nie przyjęto. W lotnictwie też nie miałem spokoju, na pewien czas odebrano mi prawo latania na samolotach. Przebiegłością i perfidią komunistów często przewyższali Niemców. Ale nie czuję nienawiści, uważam ten system za żalony, z politowaniem myślę o tych ludziach i ich działalności. Nie są wariaci, by się nimi zajmować.

DZIEWIĘĆ GODZIN W POWIETRZU

Wielką życiową pasją Ludwika Miśka jest latanie. Samolotami zainteresował się jeszcze przed wojną. Ojciec zabrał go na miejsce wypadku samolotu pod Pleszewem:

- Katastrofa wcale mnie nie odstraszyła, wręcz przeciwnie. Pewnie dlatego, że samolot się rozbił, ale lotnicy uszli z życiem. Z czasopism ojca po kryjomu wycinałem fotografie związane z lotnictwem, jak to zobaczył zrobił mi awanturę, ale kolekcję różnych samolotów już miałem.

W 1945 r. po powstaniu Aeroklubu Ostrowskiego zgłosił się na kurs szy-

bowcowy. Tego roku zaledwie raz odebrał się od ziemi, wiosną następnego roku zaczęło się prawdziwe latanie. Z czasem przyszły pierwsze rekordy. Największy sukces osiągnął w 1959 r., w Aeroklubie Poznańskim pobił rekord świata lecąc szybowcem z Kobylnicy do Olsztyna i z powrotem:

- 8 godzin 55 minut w powietrzu. Przeleciałem 533,6 km. Cały czas w napięciu, skoncentrowany, wykorzystywałem wiedzę i intuicję, znajomość warunków meteorologicznych. Kryzys zdarzył się koło Inowrocławia. Wydawało się, że to koniec, że nie doleję, rozpaczliwie szukałem tak potrzebnych prądów wznoszących. Myślałem sobie, jeśli uda mi się dolecieć do Gniezna, to dalej dam radę, bo tam nad jeziorem w rynnice polodowcowej musi być prąd wznoszący. Był. Gdzieś na wysokości Pobiedzisk pierwszy raz pomyślałem, że może mi się udać. Po wylądowaniu nie mogłem o własnych siłach wyjść z szybowca, ani wypowiedzieć słowa, tak mi zaschło w gardle. W czasie lotu wskutek adrenaliny w ogóle nie czułem głodu ani zmęczenia. Koledzy już na mnie czekali i pomogli mi wydostać się z kabiny.

Na szybowcach latał przez 61 lat, czyli do 80 roku życia. Jednego z ostat-

nich lotów nie zapomni nigdy. Pilotował szybowiec Jantar 1, już w powietrzu silny prąd zerwał osłonę kabiny a z nią przymocowany aparat fotograficzny. Żał mu było nie aparatu, ale filmu ze zdjęciami z pogrzebu słynnej lotniczki Wandy Modlibowskiej, wyznaczył nagrodę dla znalazcy. Minęło ponad pół roku i nic się nie działo, pogodził się ze stratą, kiedy pewnego wieczoru zadzwonił znalazca. Nazajutrz przyniósł aparat. Film przeleżał w wodzie, ale kilkanaście zdjęć udało się uratować.

Ludwik Misiek twierdzi, że cierpliwość i determinację w działaniu wyrobił w nim sport:

- W powietrzu można liczyć tylko na siebie, swoją wiedzę, refleks i intuicję. Pilotowanie szybowca uczy cierpliwości i pokory wobec sił przyrody. Latanie na nich to wspaniałe uczucie, frunie się jak ptak, w przestworzach panuje niesamowita, wspaniała cisza, którą uważa się dopiero latając szybowcem.

TERESA MASŁOWSKA

*

Major Ludwik Misiek urodził się w 1926 r. w Pleszewie. Ojciec Ignacy był zawodowym żołnierzem WP, matka Maria z Grzegorzewskich prowadziła dom i wychowywała dzieci. W latach okupacji niemieckiej Ludwik Misiek był żołnierzem ZWZ/AK, pseudonim „Robert”. 9 października 1942 r. zaprzysiężony do Armii Krajowej. W latach 1943-1944 działał w ostrowskim Kedywie. Brał udział w walkach osłonowych o Ostrow w styczniu 1945 r. Nie ujawnił się w Urzędzie Bezpieczeństwa i do 20 sierpnia 1945 r. działał w tzw. II konspiracji, należał do Wielkopolskiej Samodzielnej Grupy Ochrony „Warta”. W latach 1948-1952 studiował w Wyższej Szkole Inżynierskiej, w latach 1967-1969 na Politechnice Poznańskiej. Jest inżynierem magistrum inżynierii lądowej. Pracował w biurach projektowych w Poznaniu, według jego projektów zbudowano wiele mostów, wiaduktów, osiedli mieszkaniowych, hoteli itd. W latach 1977-1980 pracował jako urbanista na kontrakcie w Libii. W 1986 r. przeszedł na emeryturę. Jest wiceprezesem Zarządu Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, w którym działa już ponad 20 lat. Odznaczony m.in. Krzyżem AK, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Jest mistrzem sportu wyróżnionym m.in. Diamentową Odznaką Szybowcową, odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej i wielu innych. Autor i współautor wielu książek m.in.: „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej”, „Lotnicze historie”, „Okręg Poznański Armii Krajowej w końcowej fazie okupacji (1943-1945)”. Pisze drugą część „Lotniczych historii”.

70. rocznica zbrodni katyńskiej

Policjanci Ziemi Kościańskiej zamordowani przez Sowietów

Mówiąc KATYŃ, pamiętamy o pomordowanych na „niehumanitarnej ziemi” tysiącach jeńców wojennych, zawodowych wojskowych i oficerów rezerwy: profesorów wyższych uczelni, lekarzy, prawników, inżynierów, nauczycieli, dziennikarzy, literatów i duchownych, policjantów, kolejarzy, żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza i funkcjonariuszy służby więziennej, wziętych do niewoli po agresji na Polskę wojsk sowieckich.

„Oni uciekli”

Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich, wypełniając porozumienie z Niemcami – pakt Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939r. – 17 września wkroczył na terytorium Polski, łamiąc pakt o nieagresji. Po zakończeniu walk lokalnych ze stawiającymi opór jednostkami polskimi, Sowieci wzięli do niewoli lub aresztowali ponad 230 tys. oficerów i szeregowych oraz kilkadziesiąt tysięcy cywilów. Z tej grupy wyselekcjonowano oficerów Wojska Polskiego, których osadzono w obozach w Starobielsku (ok. 4 tys. osób) i Kozielsku (ok. 4,5 tys. osób), zaś żołnierzy KOP oraz funkcjonariuszy Policji Państwowej, Straży Więziennej i Straży Granicznej osadzono w Ostaszkowie na wyspie na jeziorze Seliger. W innych obozach i więzieniach osadzono ponad 7 tys. osób.

5 marca 1940 zapadła decyzja o rozstrzelaniu jeńców [prócz Stalina pod rozkazem podpisali się najwyżsi funkcjonariusze państwa sowieckiego i partii - Mołotow, Woroszyłow, Kaganowicz, Kalinin i Mikołaj]. Według sowieckiego tzw. „tajnego raportu” z 1959r., w wyniku ludobójczej decyzji - rozstrzelano w lesie katyńskim [obóz kozielski] - 4 421 osób, w Charkowie [obóz starobielski] - 3 820, w Twerze [obóz ostaszkowski] - 6311 osób; oraz w innych obozach i więzieniach - 7 305 osób.

Po podpisaniu układu Sikorski-Majski premier rządu polskiego gen. Wła-

dysław Sikorski w dniu 3 grudnia 1941 roku w Moskwie w rozmowie ze Stalinem zadał pytanie, co stało się z jeńcami obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, bezskutecznie poszukiwanych przez gen. Władysława Andersa. Dodał, że sprawdzono w kraju, w obozach jenieckich w Niemczech. „Ci ludzie znajdują się tutaj - mówił polski premier. To niemożliwe. Oni uciekli - odrzekł Stalin. Dokąd mogli uciec? - dziwił się uczestniczący w rozmowie generał Anders. No, do Mandżurii - odparł gospodarz Kremla...”

Kiedy 13 kwietnia 1943 r. radio berlińskie podało informację o odnalezieniu masowych grobów pomordowanych polskich oficerów w lesie katyńskim, znany stał się ich los. Została powołana komisja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla zbadania tej zbrodni. W odpowiedzi, Związek Sowiecki o ten mord oskarżył Niemców i zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. Świat zachodni przyjął wersję sowiecką, pomimo, że posiadał pełną wiedzę na ten temat, przekazaną przez rząd polski. Zachód nadal jednak wolał milczeć... Taki stan utrwalił się na całe półwiecze.

Trwanie w kłamstwie

Po wojnie nazwa KATYŃ była zakazana. Cenzura po roku 1957 nie dopuszczała do wymienia-
nia w publikacjach nawet na-



► zwy KATYŃ. Za głoszenie prawdy o Katyniu władze PRL skazywały na więzienie. Dla przykładu: „Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie wyrokiem z dnia 8 października 1949 r. [sygn. Akt Sr. 1420/49] uznał H.G. winnym tego że: w końcu lutego 1949 r. jako funkcjonariusz PUBP w D., rozpowszechniał fałszywe wiadomości mogące wyrządzić

wydał instrukcję dla Służby Bezpieczeństwa i prokuratury, w której stwierdza: „Casus Katyń (...) stanowi negatywną inicjatywę podejmowaną przez zorganizowane grupy antysocjalistyczne”. W tym samym okresie Główny Urząd Prasy, Publikacji i Widowisk przypominał cenzorom, że nie wolno dopuszczać do ogłoszenia żadnych informacji, nawet w nekrologach, które su-



Jedna z polskich mogił w lesie katyńskim. Fot. w zbiorach Teresy Masłowskiej

istotną szkodę interesom państwa polskiego w ten sposób, że przekonywał pracowników PUBP w D., że oficerowie polscy w Katyniu zostali pomordowani przez Armię Czerwoną, tj. czynu z art. 22 m.k.k. o za to został skazany na karę 3 lat więzienia”.

30 października 1980 roku prokurator generalny Lucjan Czubiniński

gerowałyby odpowiedzialność sowiecką za mord na oficerach lub wymieniali jako datę zbrodni rok 1940. Haniebna też była wypowiedź doradcy generała Wojciecha Jaruzelskiego - Wiesława Górnickiego, który w liście do tygodnika „Konfrontacje” napisał, że wśród oficerów zamordowanych w Katyniu nie wszyscy byli niewinni [sic!].

Jedynym państwowym obrońcą prawdy były Władze Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, których jednak możliwości - po wycofaniu im uznania przez główne kraje Zachodu - stopniały prawie do zera. Najważniejszym ich dziełem było opublikowanie w 1948r. fundamentalnej książki „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów”. Zatajono jednak, że jej autorem był pisarz Józef Mackiewicz, który w 1943r. - w porozumieniu z kierownictwem polskiego państwa podziemnego - był świadkiem niemieckich ekshumacji w Katyniu, a po powrocie do kraju złożył relację nie tylko władzom konspiracyjnym, ale także udzielił wywiadu gazecie kontrolowanej przez Niemców, „gadzinówce”. W 1976r. na londyńskim cmentarzu Gunnersbury odsłonięto - pomimo protestów władz PRL i sowieckich - Pomnik Katyński. Jak silne były wpływy sowieckie, świadczy fakt, iż brytyjskie ministerstwo obrony na żądanie ministerstwa spraw zagranicznych zabroniło członkom brytyjskich sił zbrojnych brania udziału w uroczystości w mundurze, zakazało udziału trębaczy z pułków gwardii (pomimo wcześniejszej zgody), udziału w uroczystości nie wzięły władze „British Legion” (brytyjscy kombataneci). Rząd brytyjski wydał oświadczenie, że nie może włączyć się do sprawy katyńskiej wysyłając swoją delegację, gdyż odpowiedzialność za morderstwa katyńskie jest przedmiotem sporu. Może warto przypomnieć, że w już w 1952 Komisja Kongresu USA w swoim sprawozdaniu uznała winę NKWD i rządu sowieckiego, które w 1953 zostało przesłane do za pośrednictwem sekretarza generalnego ONZ do wszystkich delegacji.

Na fali odwilży

Na przełomie 1990r. kiedy zaczął się kruszyć ZSRS, nie miało sensu nadal ukrywać prawdę. 13 kwietnia 1990r. agencja TASS nadała komunikat, że zbrodni katyńskiej winne jest NKWD ZSRS. Dopiero jednak prezydent Borys Jelcyn 14 października 1992 roku ujawnił, że decyzję rozstrzelania jeńców podjął Józef Stalin i Biuro Polityczne KC KPZR.

Znane są nazwiska większości mieszkańców Ziemi Kościańskiej zamordowanych przez Sowietów. Pionierską pracę wykonali tu kościaniacy dr Piotr Bauer i red. Jerzy Zielonka wydając w latach 1990-1993 trzy zeszyty zatytuło-

wane „Żołnierska droga przez mękę. Wielkopole w obozach sowieckich”. To cenny przyczynek do dalszych badań. Nie jest to lista pełna. Ciągłe pojawiają się nowe nazwiska. Uzupełnieniem tych badań są wydane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa księgi cmentarne polskich cmentarzy wojennych w Katyniu, Charkowie i Miednoje.

Poniżej publikujemy listę pochodzących z Ziemi Kościańskiej lub pełniących służbę na tej ziemi w okresie międzywojennym policjantów, jeńców obozu w Ostaszku, zamordowanych przez NKWD wiosną 1940 roku w Kalininie (Twerze), spoczywających na Polskim Cmentarzu Wojennym w Miednoje.

*

BARTKOWIAK Stanisław, przodownik PP, s. Andrzeja i Antoniny, ur. 5 X 1891 w m. **Kurza Góra**. W 1939r. pełnił służbę IV Komisariacie w Poznaniu.

BAK Wojciech, st. posterunkowy PP, s. Piotra i Marianny z Jankowiaków, ur. 20 IV 1894 w **Zielęcinie**. Służbę pełnił we Lwowie na Posterunku Kolejowym.

BERESZYŃSKI Wiktor, st. posterunkowy PP, s. Wincentego i Małgorzaty, ur. 2 X 1888 w **Zielęcinie**. We wrześniu 1939r. pełnił służbę na Posterunku PP Kościerzyna.

BRESIŃSKI Piotr, posterunkowy PP, s. Kaspra i Balbiny z Jabłońskich, ur. 3 XII 1884 w **Naclawiu**. We wrześniu 1939r. na Post. w Kępnie.

BRUDKIEWICZ Zenon, posterunkowy PP, s. Stanisława i Stanisławy z Łącznych, ur. 16 V 1913 w **Kościanie**. We wrześniu 1939r. służbę pełnił na Posterunku w Grudusku pow. ciechanowski.

CHWIAŁA Antoni, st. posterunkowy PP, s. Franciszka, ur. w 1894 w Mieczewie. We wrześniu 1939r. pełnił służbę na Posterunku w **Turwi**.

GERTIG (GIERTYK?) Marcin, posterunkowy PP, s. Franciszka i Franciszki z Walkowiaków, ur. 15 X 1887 w **Żegrówku**. We wrześniu 1939r. służbę pełnił w III Komisariacie w Bydgoszczy.

GOŁOSIŃSKI Stanisław, posterunkowy PP, s. Wojciecha, ur. 15 II 1913. Od 1 II 1939r. służbę pełnił na Posterunku w **Krzywiniu**.

JOHN Stanisław, posterunkowy PP, ur. 12 XI 1886 w **Gradowicach**. Zamieszkały Stary Sambor woj. lwowskie.

JUSKOWIAK Franciszek, st. posterunkowy PP, s. Tomasza, ur. 24 VII 1901 w **Łękach Wielkich**. We wrześniu 1939r. służył w Urzędzie Śledczym m. St. Warszawy.

KAŹMIERCZAK Jan, st. przodownik PP, s. Piotra i Józefy z Leśnych, ur. 24 VI 1885 w Mikoszkach. We wrześniu 1939r. pełnił służbę w Komendzie Powiatowej w **Kościanie** jako księgowy.

KORBIK Franciszek, st. przodownik PP, s. Jakuba, ur. 1883 w **Kościanie**. We wrześniu 1939r. służbę pełnił w Bydgoszczy.

KOTLARSKI Andrzej, st. posterunkowy PP, s. Ignacego i Wiktorii, ur. w 1896 w **Wielkich Łękach**. We wrześniu 1939r. służbę pełnił na Posterunku Kolejowym w Zdołbunowie na Wołyniu.

KRYŚLAK Roman, st. posterunkowy PP, s. Marcina i Reginy, ur. 8 VII 1907 w **Czarczyku**. We wrześniu 1939r. pełnił służbę na Posterunku w Bielskiej Woli pow. sarnieński.

LEDZIŃSKI Wiktor, starszy posterunkowy PP, s. Franciszka i Katarzyny, ur. 5 VIII 1889 w Janiej Górze. We wrześniu 1939r. pełnił służbę na Posterunku PP w **Wielichowie**.

MALAK Wojciech, st. posterunkowy PP, s. Antoniego, ur. 17 IV 1889 w **Karminie**. We wrześniu 1939r. służył na Posterunku w Chełmży pow. toruński.

MARCINIAK Stanisław, starszy posterunkowy PP, s. Wincentego, ur. 1885 w **Gradowicach**. We wrześniu 1939r. pełnił służbę na Posterunku w Rudnikach, pow. wieluński.

MICHALCZYK Ignacy, st. starszy posterunkowy PP, s. Piotra i Konstancji z Nowaków, ur. 26 VII 1897 w **Łubnicy**. W sierpniu 1939r. przeniesiony z Posterunku w Domasłowicach pow. rawicki na Posterunek w Rogoźnie pow. obornicki i tam nadal służył we wrześniu 1939r.

MICHALCZYK Stanisław, starszy posterunkowy PP, s. Piotra. Ur. 1892 w **Łubnicy**. We wrześniu 1939r. pełnił służbę w Poznaniu.

NAPIERAŁA Jakub, przodownik PP, s. Jana i Teofili z Kaczmarków, ur. 4 VII 1892 w **Wilanowie**. Od 1 IV 1938r. w służył w Komendzie Wojewódzkiej w Toruniu.

NOWACZYK Ludwik, posterunkowy PP, s. Stanisława i Marianny z Nowaków, ur. 11 VII 1902 w **Wielichowie**. Od 1933 służył na Posterunku PP w Suchopolu pow. prużański i tam także we wrześniu 1939r.

OSTROWSKI Leon, st. posterunkowy PP, ur. 13 IV 1885 w Małym Łącku. We wrześniu 1939r. na Posterunku w **Śmiglu** pow. kościański.

PRZYBYLSKI Sylwester, post. PP, s. Marcina i Wiktorii, ur. 31 XII 1914 w **Jarogniewicach**. We wrześniu 1939r. służył na Posterunku w Rudniku pow. nizański.

SŁOWIŃSKI Marcin, przodownik PP, s. Józefa i Marii z Trzcieleńskich, ur. 9 XI

1883, w Mikstacie. Od 16 I 1934 – i nadal we wrześniu 1939r. – komendant Posterunku PP w **Kamieńcu**.

STRZELCZYK Marcin, st. posterunkowy PP, s. Ignacego i Weroniki z Urbanaków, ur. 3 XI 1890 w Strykowie. We wrześniu 1939r. służbę pełnił na Posterunku w **Kościanie**.

SZCZERBAL Michał, starszy posterunkowy PP, s. Wojciecha i Marii z Majchczaków, ur. 14 IX 1892, Przysieka Stara. We wrześniu 1939r. służbę pełnił jako zastępca komendanta Posterunku PP w **Kamieńcu**.

SZYMKOWIAK Wojciech, st. posterunkowy PP, s. Antoniego, ur. 13 IV 1890 w Żytowiecku. We wrześniu 1939r. służbę pełnił na Posterunku w **Śmiglu**.

ŚCIGACZ Maciej, przodownik PP, s. Franciszka i Antoniego, ur. 23 II 1890 w **Cichowie**. Co najmniej od 1936 – i nadal we wrześniu 1939r. – służbę pełnił w policji woj. stanisławowskiego.

ŚCIGACZ Stanisław, przodownik PP, s. Franciszka i Antoniego, ur. 6 VII 1892 w **Cichowie**. We wrześniu 1939r. pełnił służbę w Poznaniu.

ŚMIELKOWSKI (Smelkowski?) Józef, posterunkowy PP, s. Jakuba, ur. W 1903 w **Rogaczewie**. We wrześniu 1939r. służbę pełnił na Post. w **Śmiglu** pow. kościański.

TALARCZYK Stanisław, posterunkowy PP, s. Józefa i Marii z Kowalskich, ur. 4 I 1896 w **Łęki Małe**. W 1939r. służbę pełnił na Posterunku w Drawsku.

WALKOWIAK Marcin, st. przodownik PP, s. Makarego, ur. w 1885 w **Brońsku**. We wrześniu 1939r. naczelnik referatu gospodarczego Komendy Powiatowej w Poznaniu.

WEGNER Andrzej, przodownik PP, s. Andrzeja, ur. w 1897 w m. Kawka. We wrześniu 1939r. pełnił służbę na Posterunku w **Krzywiniu** na stanowisku komendanta.

WIECZOREK Waław, st. posterunkowy PP, s. Antoniego, ur. 3 VIII 1906 w **Dębsku**. We wrześniu 1939r. pełnił służbę w Wydziale Śledczym w Kosowie Pokuckim.

ZADOŃ Józef, starszy posterunkowy PP, s. Hilarego i Józefy z henyselów, ur. 17 I 1898 w **Wilkowie Polskim**. We wrześniu 1939r. pełnił służbę na Posterunku w Śniatyniu.

ZAŁEJSKI Adam Kazimierz, posterunkowy PP, s. Jana i Marii, ur. 22 XII 1908 w Częstochowie. We wrześniu 1939r. służbę pełnił w **Kościanie**.

ZENON JÓZWIAK



Kościańscy strażacy w akcji.

Fot. Bogdan Ludowicz

stawową grupę jednostek interwencyjnych stanowią ochotnicze straże pożarne, rekrutujące się spośród ludzi różnych zawodów, wykształcenia i pochodzenia społecznego.

To czym dysponujemy dzisiaj, zarówno w obszarze techniki, rozwiązań organizacyjnych (strategicznych) jak i myśli taktycznej, wynika z doświadczeń naszych zacnych poprzedników. Jesteśmy tylko, i „aż” kontynuatorami wielkiej idei służenia bliźniemu. I tak oto, w ten skromny sposób chciałbym pochylić się przed nimi, przypomnieć ich i ukazać drogę, którą oni przecierali, a my ją doskonalimy.

„Dzisiaj mnie, jutro tobie”

Człowiek zawsze bał się pożaru, niosącego ze sobą zniszczenie i nader często

O ochotniczej straży pożarnej (1)

135 lat (i ponad) liczyłoby zaledwie 57 jednostek Ochotniczych Straży Pożarnych w Polsce, gdyby wszystkie zachowały swe trwanie. Niestety los nie zawsze obszedł się z nimi łaskawie i na placu boju pozostało ich ok. 30, w tym zacna kościańska Ochotnicza Straż Pożarna. Jej dziejami zajmowali się wybitni regionaliści, że wspomnimy druha Kazimierza Zielińskiego, panów Jerzego Wizerkaniuka, Jana Michałowskiego, Bolesława Iglowicza, Tadeusza Jądera, czy nieodżałowanego Henryka Florkowskiego.

Spoleczny fenomen

Pisał Cyprian Kamil Norwid „Dziś jest sumą doświadczeń wczoraj”. Dodajmy od siebie, że dotyczy to wszystkich doświadczeń społecznych, w tym też form organizacji społeczeństw wokół jakichś, ważnych dla nich celów. Jedną z najważniejszych potrzeb ludzkich, zdaniem amerykańskiego psychologa – Masłowa, jest poczucie bezpieczeństwa. Zagrożenie niejedno ma imię. Niektóre z nich to zagrożenie pożarem, wypadkami, katastrofami, katalizmami, których niekiedy nie można było uniknąć, ale można było przeciwstawić się eskalacji niebezpieczeństwa.

Bez przesady powiedzieć można, że historia ochrony przeciwpożarowej jest z pewnością tak długa, jak długa jest historia ludzkości. Zaczyna się zapewne już od momentu, gdy człowiek pierwotny z trwogą patrzył na szalejącą żywiol i wznosił modły do bóstw uosabiających siły przyrody, porażony jego grozą. Być może pierwsze oddziaływania prewencyjne sprowadzały się do otoczenia ogniska kamiennym kręgiem. Ale na podjęcie zorganizowanych dzia-

łań ratowniczych trzeba było długo czekać.

Do historii ochrony przeciwpożarowej można podchodzić z wielu stron. Można mówić o: przeobrażeniach organizacyjnych (zależnych od politycznych układów i rozwiązań ustrojowych), wyposażeniu technicznym (wiążącym się z ogólnie dokonyującym się postępowaniem na świecie i w kraju), problemach oddziaływań prewencyjnych (co wynikało z kształtującej się świadomości o niszczącym oddziaływaniu pożarów, chęci stworzenia poczucia bezpieczeństwa osobistego i ekonomicznego), czy też o strażackiej oświacie, bowiem wszyscy zajmujący się problemami ochrony przeciwpożarowej, działaniami prewencyjnymi i interwencyjnymi musieli być do nich przygotowani.

Ale można spojrzeć na ochronę przeciwpożarową, a właściwie na pożarnictwo, jak na swego rodzaju fenomen społeczny, którego specyfika polega między innymi na tym, iż szereg zadań (i to wiążących się nierzadko z narażeniem własnego zdrowia i życia) wykonują obok pracowników etatowych, także działacze społeczni. W wielu miejscowościach pod-

śmierć. Pastwą ognia padały niekiedy całe wsie i miasta. Zatem od zarania należało organizować się przeciwko pożarom i jest to historia stara jak świat. Szukano możliwie najskuteczniejszej przed nimi ochrony, surowo karząc sprawców i tych którzy na czas nie ostrzegli innych bądź zaniechali gaszenia.

Wszelkie powstające uregulowania organizacyjne społeczeństw opierały się głównie na wynoszonym doświadczeniu. Jako normy ustanawiane były przez panujących, rady miejskie, właścicieli miast i wsi oraz władze cechowe. Miały one zatem charakter partykularny i odnosiły się do konkretnej społeczności. Kto pierwszy zauważył ogień musiał powiadomić o niebezpieczeństwie sąsiadów okrzykiem „gore”, co nazywano „okrzyknięciem” pożaru. Karano za opieszałość, ale i nagradzano za pośpiech. Ten kto przybywał bez narzędzi dostawał się do więzienia. Surowe kary (takie jak: grzywna, wygnanie z miasta, więzienie połączone z męczonami, itp.) przewidywano dla tych, którzy niebezpieczeństwo pożaru sprowadzili.

Do pożaru spieszyć musieli wszyscy. Z czasem zaniechano zwoływania do nie-

go mieszkańców ze wszystkich dzielnic miasta. Tylko najbliżsi sąsiedzi obowiązani byli udzielać pomocy i zjawiać się na alarm. Funkcjonowała zasada „Hodie mihi, tibi cras” („dzisiaj mnie, jutro tobie”) i zgodnie z nią każdy spieszył do pożaru, i tak przy gaszeniu go postępował, jak mu rozum i wola wskazywały, a siły pozwalały. Z czasem taki sposób tłumienia ognia udoskonalili się, zachowując jednak pierwotny charakter wzajemnej, ale już obowiązkowej i w pewne karby ujętej pomocy.”

Sam Kościan kilkakrotnie padał pastwą pożaru ponosząc znaczny uszczerbek w substancji budowlanej i powodujących ubożenie mieszkańców (rok 1400, 1503, 1523, 1610, 1612, 1616, 1655 – miasto spalone niemal całkowicie przez Szwedów, 1765 – spalony kościół i szpital św. Krzyża, 1798 – spalony rynek, łącznie 17 budynków, itd.). Nic więc dziwnego, że konieczna była taka organizacja lokalnej społeczności, by pożarów unikać, a jeżeli zaistnieją – ograniczać ich skutki. W efekcie podejmowanych zabiegów od połowy XIX wieku nie notowano już pożarów katastrofalnych.

„Na bicie dzwonów”

Trudno przyjąć jako pewną datę stworzenia pierwszej zorganizowanej formy walki z pożarami w naszym mieście. Być może będzie to rok 1792. W tym czasie (od 1791) działała Komisja Porządkowa Cywilno-Wojskowa obejmująca swym zasięgiem powiat kościański i wschowski. Tegoż roku, dnia 15 maja magistrat Kościana uchwalił nowe, poszerzone tzw. „Urządzenie Ratunku Ognia”, według którego na alarm pożarowy (uderzenie w dzwony i wystrzał z armatki na wieży) stawić się mieli wszyscy obywatele z naczyniami do wody pod karą 12 grzywien. Miasto podzielono na rejony, przydzielając nadzór nad nimi poszczególnym mieszkańcom. O nieobecności któregoś z nich magistrat musiał być powiadomiony.

Wyraźny postęp w organizacji walki z pożarami i działalności prewencyjnej notujemy w okresie Księstwa Warszawskiego. Także w Kościanie, czego dowodzą między innymi zarządzenia Urzędu Policyjnego miasta Kościana z dnia 9 czerwca 1810r., wyznaczające imiennie mieszkańców tegoż do akcji ratunkowej z przydzieleniem określonej funkcji. Ciekawostką jest, że spis zawiera około 400 nazwisk, gdy miasto liczyło 1400 mieszkańców, z czego wynika, że do ówczesnej straży ogniowej (nazwiemy ją tak umownie) na-

leżeli niemal wszyscy dorośli mężczyźni.

Tak więc od żywiołowości i zaangażowania do gaszenia pożaru całej lokalnej społeczności, następnie podziałem funkcji pomiędzy mieszczan (głównie rzemieślników) i wydzieleniem kwartałów broniowych doszliśmy do imiennego określenia zobowiązanych do udziału w akcji ratowniczej, z podziałem funkcji i wyeksponowaniem funkcyjnych, co już wyraźnie będzie widać podczas tworzenia straży pożarnych.

Mówiliśmy już, że do pomocy spieszyć musieli wszyscy. Jednakże coraz to inni, a nie wyćwiczeni ratownicy nie zawsze mogli skutecznie walczyć z pożarami. U podłoża wszelkich działań leżały przyczyny natury nie tylko społecznej, ale też ekonomicznej, co wymuszało tak rozwijający się przemysł jak i rządowy fundusz ubezpieczeń, wypłacający pogorzelcom znaczne odszkodowania. Wszędzie obowiązywały lokalne rozwiązania (niekiedy zbliżone do siebie). Zmiana następuje dopiero z końcem XVIII wieku, gdy sprawy „policji ogniowej” zaczynają być regulowane przepisami ogólnopaństwowymi.

Początki kościańskiej straży

Na przełomie XIX i XX wieku kraj był podzielony. Podzielony był zatem też ruch strażacki. Na obszarze Galicji działa od 1875r. Krajowy Związek Ochotniczych Straży Pożarnych. Na terenie Królestwa Polskiego początkowo Cesarskie Rosyjskie Towarzystwo Pożarnicze od 1893r. - o małej inicjatywie, nie skupiające większej liczby polskich straży, pracujących zatem samoistnie, a od 1916r. działa Towarzystwo Świętego Floriana, przekształcone w 1917r. w Związek Floriański. (statut przyjęty 15 lipca 1917r.).

Na obszarze zaboru pruskiego funkcjonują trzy związki, od 1867r. będące początkowo oddziałami prowincjonalnymi niemieckiego związku strażackiego, z którego wyodrębniają się: najwcześniej (w 1880r.) Pomorski Związek Prowincjonalny Straży Pożarnych, a w 1893r. Poznański Prowincjonalny Związek Straży Pożarnych i Prowincjonalny Związek Straży Pożarnych na Górnym Śląsku. Każdy ze związków zachowuje swą autonomiczność.

Próbie zorganizowania straży pożarnej (według dzisiejszej terminologii) podjęto w Kościanie w 1864r., kiedy to powstała „Przygotowawcza Komisja do Założenia Związku Ratowniczego”. Powiadomiono wówczas magistrat o gotowości utworze-

nia Związku Ratowniczego przez członków Kościańskiego Związku Gimnastycznego. Zobowiązano się do przygotowania statutu i zwrócono się też z prośbą o zezwolenie na przeprowadzenie ćwiczeń „miejskimi sikawkami gumowymi” (węzami gumowymi – przyp. PB.). Do założenia związku jednak nie doszło. Stało się to 10 lat później.

19 stycznia 1874 roku aż 115 mieszkańców Kościana (w większości Polaków) zadeklarowało gotowość wstąpienia do Straży Ogniowej. Inicjatorami tego przedsięwzięcia byli dwaj doktorzy medycyny – Karol Bojanowski i Klemens Koehler. Na zebraniu organizacyjnym w 15 lutego powstała Dobrowolna Straż Ogniowa, licząca 75 członków. Z początkiem swego istnienia straż dysponowała 2 sikawkami, 60 metrami węży gumowych, 1 wozem dwukołowym, 2 drabinami hakowymi, 3 drabinami dachowymi, 5 beczkowsami o pojemności 1500 l każdy. Kontrolę nad wyposażeniem sprawował nie tylko Zarząd Straży, ale też władze miejskie i policyjne. Zarząd Miejski corocznie umieszczał w budżecie miejskim kwotę ok. 200 marek z przeznaczeniem na ochronę przeciwpożarową.

Statut jednostki, jak i wszystkie inne ważniejsze dokumenty opracowywano w wersji dwujęzycznej (polskiej i niemieckiej) co wskazuje na niepokoje narodowościowe i silnie zakorzenione postawy patriotyczne. W latach 1907–1919 dokumenty pisane są już tylko w języku niemieckim. Dyrektorem (dzisiaj powiemy – prezesem bądź naczelnikiem) straży został dr Karol Bojanowski. Później stanowiska kierownicze obsadzali Niemcy. Żywy przejaw patriotyzmu mamy w 1913r., kiedy to grupa 11 Polaków żądała od zarządu wykluczenia z listy członków straży jednego z Niemców, za obrazę ich patriotycznych uczuć.

Okres I wojny światowej to czas spustoszeń i przygaśnięcia działalności społecznej, także w strażach pożarnych. Wielu strażaków powołanych pod broń walczyło na wszystkich niemal frontach wojny. Działalność lokalnej OSP z czasem niemal całkowicie zanika. Powstałe pożary gasić musiało wojsko. (cdn)

PIOTR BIELICKI

* Tytuł artykułu i śródtytuły pochodzą od redakcji. Autor opatrzył pracę tytułem „Ochrona przeciwpożarowa Kościana na tle historii pożarnictwa i powiatu kościańskiego”.



Nierówności terenu w okolicy Kościana ludność nazywała „szwedzkimi szaniami”.

Fot. Bogdan Ludowicz

Krzysztof Żegocki czyli Oswobodzenie Kościana (1)

(...) Jedną z najwybitniejszych, a niestety przez historię najmniej objaśnioną postacią tej wojny podjazdowej jest Krzysztof Żegocki, starosta odolanowski, który z swym oddziałem niejednokrotnie dał się Szwedom groźnie we znaki. Czyn zaś najważniejszy tego męża, oswobodzenie Kościana z rąk okrutnego najeźdźcy, służy za wątek, na którym osnuta jest powieść niniejsza.

Rozdział I

Pięknie weszło słońce na niebios błękitny pewnego poranku w październiku roku 1655. Był to jeden z tych dni uroczych, jakie nam czasami przynosi późna jesień; dzień tak ciepły i pogodny, iż mamy złudzenie, jakobyśmy byli w poranku majowym i spodziewamy się upałów skwarne go lata prędkiej, niż śniegu i lodów nadchodzącej szybko krokami zimy.

Lecz nieszczęsnych mieszkańców Kościana nie cieszył ten poranek piękny i wesoły. Na wszystkich twarzach, któreś spotkał w ulicach miasta, ujrzałeś ponury smutek i boleść straszliwą. Czasami tylko słyszeć się dało stłumione westchnienie lub ciche przekleństwo i uderzył cię widok dłoni zaciśniętej

w niemem oburzeniu, w strasznej rozpacz. – Oh! bo też mieli przyczynę do tego smutku, do boleści i rozpacz. – Już kilka tygodni, jak Szwed łupieski miasto zajął w posiadanie; w ulicach kręci się rozpasane na wszelkie gwałty, okrutne żołdactwo; a najmniejszy objaw niechęci lub gniewu staje się przyczyną groźnego więzienia, a często i haniebnej śmierci na szubienicy.

Landgraf heski był wodzem załogi nieprzyjacielskiej; z nią łupił domy prywatne jako i kościoły, więził i mordował podejrzanych o niechęć ku Szwedom obywateli, słowem, dopuszczał się najokrutniejszych nadużyć i bezpraw. – Landgraf był prawdziwym typem żołdaka, dosługującego się stopni i zaszczytów w obcym wojsku. – Bez uczucia, bez litości, bez żadnych

uczuć szlachetnych, bez czci i wiary, gonił jedynie za nasyceniem swych brudnych żądz i namiętności, przewyższał okrucieństwem i chciwością najgorszych nawet wodzów szwedzkich, których przecież o miłosierdzie i wstrzemięźliwość posądzać nie było można.

Młody był jeszcze latami, lecz na bladej i zmęczonej twarzy, w oczach dzikim pałającym ogniem, złe życie wyraźne naznaczyło ślady. Wyczytał w niej wszystkie wstrętne namiętności, miotające jego czarną duszą, poznał, że ten człowiek doświadczył co jest używanie i wychylił czarę jego rozkoszy aż do dna, tak iż nic w niej nie pozostało krom mętów i brudu. – Rychle wyniesienie na stopień pułkownika, zawdzięczał on nie męstwu i odwadze lub zdolnościom nadzwyczajnym, bo w tych rzeczach nigdy bardzo nie celował, lecz jedynie wysokiemu rodowi i pokrewieństwu z królem szwedzkim.

Nie dziw więc, że los miasta, w którym wódz taki najwyższe sprawował rządy, dzierżył władzę nad życiem i śmiercią poddanych sobie obywateli, był w najwyższym stopniu pożalowania godnym. To też dwaj mieszczanie, stojący dnia, w którym się rozpoczyna powieść nasza, na zaułku jednej z ulic Kościana, i rozprawiając o nowym czynie łupiestwa Szwedów, świeżo dokonany, okazali straszne oburzenie, oglądając się jednakowoż co chwila ostrożnie, czy ich który z siepaczy szwedzkich przypadkiem nie śledzi.

Były to sobie postaci zwykłych rzemieślników. Jeden z nich należał do cechu kuśnierzy, drugi był rzeźnikiem, jak to po wiszącym mu u pasa nożu poznać było można.

- Coraz to nowych gwałtów ten Szwed, psia wiara, na nas się dopuszcza - odezwał się pierwszy; człek w tych czasach życia niepewny, które mu się i przykrzy, gdy patrzy na takie okropności.

- A co najgorsza, że tu końca przewidzieć nie można wcale tego ucisku, odrzekł drugi, i nie ma żadnej nadziei, żeby tak rychło było lepiej. Podobno panowie zrobili układ ze Szwedem i szwedzkiego króla obrali królem naszym; a tak nie pozbędziemy się nigdy tych okrutnych gości.

- To już chyba, Bartłomeju - odparł na to kuśnierz - będzie trzeba

wziąć torbę na plecy i kij do ręki i poszukać sobie gdzieś w świecie u poczciwych ludzi jakiego kąta i łyżki strawy, bo i pies nie wytrzymałby tu z tymi łotrami.

- Ba! dobrze wam mówić, bracie Antoni, boście sami, jak nie przymierzacie kęs chleba i obcych. Ja zaś mam żonę i dzieci, które pomarłyby z głodu i nędzy, gdybym je opuścił. Ja muszę zostać, choć się serce kraje na widok zbytków i gwałtów, jakich się dopuszczają te heretyki, i płakać i narzekać nad nieszczęsną dolą naszą.

- Płakać, narzekać, to lada dzieciuch, lada baba potrafi, co słabą dłońią broni nie udźwignie; nam płacz i lament wcale nie przystoi; my działać powinniśmy, aby zrzucić z karków naszych to gniotące jarzmo.

Te słowa powiedział do przestraszonych niespodziewanem jego nadejściem rzemieślników, dorodny młodzieniec, mogący liczyć lat około dwudziestu i pięciu. Z otwartej jego i pięknej twarzy jaśniała łagodność, zjednoczona z wyrazem szlacheckiego zapału, męstwa i silnej woli. Z oczu błękitnych świecił niezwykły rozum. Młodzieniec ten nazywał się Szymon Jakubowski, a pochodził z jednej z najbogatszych ówczesnych rodzin kupieckich Kościana. W latach jeszcze dziecięcych utracił krótko po sobie ojca i matkę. Wcześniej więc zapoznał się z twardymi obowiązkami życia, wcześniej, nie oglądając się na nikogo, musiał sam o własnych siłach obrać sobie drogę i pracować w trudnym zawodzie. Dlatego też wyrobił sobie niezwykłą w tak młodym wieku siłę charakteru, niezwykłą energię i obrotność, tak iż wkrótce zajął wybitne w mieście rodzinnym stanowisko i do wielkiego w niem przyszedł znaczenia. Szczególnie uboższa klasa rzemieślników, której liczne świadczył dobrodziejstwa i z którą wbrew zwyczajowi owego czasu, gdzie każdy bogaty kupiec z dumą i pogardą patrzył na uboższych od siebie, po przyjacielisku bardzo się obchodził, kochała go nadzwyczaj; w nim widziała swego opiekuna, do niego też w każdym ważniejszym wypadku śpieszyła po radę.

W sercu Szymona istniały przeważnie dwa uczucia, za które wszystko oddać był gotów, co zwykle człowiek wiąże do życia, za które chętnie po-

święciłby majątek, samo życie nawet. Pierwszem była miłość szlachetna i bezinteresowna do Ojczyzny, rodzinnego miasta, wiary swych ojców, słowem, do wszystkiego co ojczyście; drugim miłość gorąca do uroczej Anny, córki burmistrza Gertycha. Teraz dusza jego szlachetna cierpiała srodze nad groźnym uciskiem Ojczyzny i rodzinnego miasta. Z rozpaczą i oburzeniem patrzył na coraz większe okrucieństwa i bezprawia wrogów i nosił się bezustannie z myślą oswobodzenia Kościana z ich rąk.

- Ale powiedźcie mi, bracia – mówił dalej młody kupiec – czy znowu jakiej nowej zbrodni dopuścili się Szwedzi, że was słyszę tak narzekających?

- Więc nie wiecie jeszcze, panie Szymonie, co dziś rano zrobiły u fary te heretyki? – wyrzekł Bartłomiej.

- U fary? Nic nie wiem.

- Posłuchajcie, to wam opowiem. Wiecie, że mieszkam tuż obok kościoła. Oto ledwom rzucił dziś rano posłanie i zmówił modlitwę poranną – mogło być około piątej z rana – aż tu słyszę jakiś hałas i łoskot w pobliżu. Lece do okna i wystawcie sobie, jak okrutny uderzył mnie widok. Krew zamarła mi w żyłach, a włosy w górę stanęły z oburzenia. Widzę kilku tych Szwedów przeklętych, jak przy blasku pochodni dobijają się do drzwi zamkniętych kościoła. Długo opierała się żelazna brama ich usiłowaniu, lecz wreszcie padła z trzaskiem wyparta i wolną im otworzyła drogę. Z dzikim hałasem i śmiechem, z bluźnierstwem i sprośnym śpiewem cisnęli się hurmem do kościoła. Po małej chwili ujrzałem ich wynoszących kielichy, monstrancje, krzyże i inne skarby kościelne.

- Ha! zawołał Szymon, a twarz jego pałała strasznym oburzeniem. Więc nie dość wam tego, że łupicie nasze mienia, że nas więzicie i mordujecie; musieliście się nawet świętokradzką dłońią targnąć na to, splamić to, co każdemu z nas najświętsze: Kościół nasz i święte jego ołtarze!? Lecz poczekajcie wrogi, nadejdzie jeszcze godzina krwawego obrachunku, a wtedy biada wam! Każda wasza zbrodnia, każdy czyn okrutny będzie wam policzony.

- My nie mamy tak dobrych nadziei, panie Szymonie! rzekł Antoni. Przeciwnie, jeżeli nas nie mylą wieści, to długo jeszcze jęczeć będziemy pod srogiem jarzmem tych Szwedów. Gdy

atoli macie jaką wiadomość weselejszą, prosimy, podzielcie się nią z nami, bo człek w strasznych terażniejszych czasach całkiem się już odzwyczai od radości.

- Mam ci ja i wiadomość dobrą, - mówił Szymon – i plan jeszcze lepszy. – Oto myślę Z Boga i waszą pomocą wygnać z miasta okrutnego gnębiela.

- Co! Wypędzić Szweda? Za naszą pomocą? wykrzyknął z przerażeniem i podziwieniem mieszczanin. I cóż zdziała garstka bez broni, bez wprawy naprzeciwko strasznej przemocy bitnego żołnierza?

- Sami bardzo mało zdziałać możemy, to więcej niż pewne, odrzekł młody kupiec. Trzeba nam koniecznie pomocy, a tę zdaje mi się znajdziemy. Dowiedziałem się oto, że w naszej okolicy o milę stąd tylko, stoi w obrzańskich błotach obozem pan starosta babimojski, który nam chętnie rękę poda w każdym przedsięwzięciu naprzeciw Szwedom. Landgraf zaś, jak mówią po mieście żołnierze, wyprawia w tych dniach wielkie łowy na cześć generała Norsterna, który ma dzisiaj lub jutro przybyć do Kościana. W mieście więc mała tylko zostanie załoga, bez zdatnego wodza, bo wszyscy wyżsi wojskowi wezmą udział w łowach. My tedy namówić musimy naszych braci do powstania, opanujemy nieliczną załogę i zanim pułkownik powróci ze swoimi z łowów, poddamy miasto panu staroście; oczywiście, trzeba się najprzód z nim porozumieć w tym względzie. To mnie tylko niepokoi, czy wszyscy bracia połączą się z nami w tym dziele.

- Ha, kiedy wy tak myślicie, panie Szymonie, rzekł na te słowa kupca Bartłomiej, to i musi być dobrze. Co do braci, to cech rzeźników ja biorę na siebie.

- Ja rękę za kuśnierzy, powiedział Antoni.

- Brat zaś mój jest starszym cechowym szewców, to i on ich namówi do wspólnego działania. Zresztą, gdy się dowiedzą, że ty, panie Szymonie, stoisz na czele, to duszą i ciałem podążą za tobą, choćbyś ich do samego miał zaprowadzić piekła. Ale jeden jest jeszcze sęk. Rada miasta, na której czele stoi

▶ znany Gertych, przyjaciel Szwedów, pewno z nami nie będzie wspólnie działał, a może cały plan nasz zniweczyć, donosząc o nim Szwedowi.

- Przewidziałem ja rzecz tę, odrzekł Szymon, i dlatego śpieszę zaraz do Gertycha, prosić go na wszystko co tylko człowiekowi drogie i święte, żeby się złączył z nami, lub przynajmniej nie przeszkadzał naszemu działaniu.

- Przyjmijcie radę starego i doświadczonego przyjaciela, panie Szymonie, nie chodźcie w tej sprawie do Gertycha, bo ten człowiek fałszywy zawsze w tę stronę płaszcz nosi, z której Geld przychodzi; gotów nas zdradzić i sprzedać Szwedom, mówił przestrzegając Bartłomiej.

- I ja wam radę, panie Jakubowski, nie chodźcie do Gertycha, bo to człek tak chciwy, żeby i ojca rodzzonego sprzedał, gdyby mu kto dobrze zapłacił, dodał Antoni.

- Ja go znów, przyznam się, odparł Szymon, tak złym nie sądzę. Iść w każdym razie do niego muszę, bo któżby prędzej podjąć mógł się tej misji, jak ja, przyszły zięć jego. Lecz cóż to za wrzawa? (cdn).

*

Pisarka i tłumaczka Emma Puffke urodziła się 28 listopada 1818r. w Poznaniu. Ojciec Stanisław Kurowski był ziemianinem, matka Marianna z domu Wroniecka. Uczyła się w szkole im. Ludwiki w Poznaniu. W 1836r. została żoną niemieckiego ziemianina Maurycego Puffke, który był przyjaźnie nastawiony do Polaków. Małżeństwo zamieszkało na Śląsku, następnie osiadło w Wielkopolsce, mieszkało m.in. w Miąskowie w powiecie kościańskim. Finansowo im się nie powodziło. Emma Puffke zdała więc egzamin nauczycielski i w 1862r. otworzyła w Kościanie pensję, którą prowadziła do jej zamknięcia w 1875r. Na początku lat 60. XIX w. zaczęła wydawać „Świąteczko. Piśmiemko poświęcone matkom i dzieciom”. Jest autorką kilkudziesięciu opowiadań i powieści, m.in.: „Dwaj bracia różnego wychowania”, powieści historycznej „Krzysztof Żegocki, czyli oswobodzenie Kościana”. Swoje prace podpisywała pseudonimem Wanda Dobrzepolska. W 1880r. zmarł jej mąż. Odtąd mieszkała u syna w Gorzyczkach, potem przeniosła się do córki Felicji w Luboni. Zmarła 17 października 1890r.

* Fragmenty powieści historycznej z wieku siedemnastego napisanej przez Wandę Dobrzepolską. Zachowano piśmienną oryginał.

Stanisław Rajch

Na wygnaniu

Chcę odtworzyć wiernie gehennę tamtych dni, którą przeżyłem wiele lat temu, kiedy w hitlerowcy pozabawili nas domu, skazując na tułaczkę i poniewierkę. W czerwcu 1939r. skończyłem 9 lat. Rozpoczęły się wakacje, na które tak długo czekałem. Dużo czasu spędzałem z kolegami na zabawach i nie zdawałem sobie sprawy, co mnie wkrótce czeka. Mieszkałem wtedy z siostrą i rodzicami w Kościanie. Rodzice często rozmawiali o wojnie, bali się, gdyż jedną już przeżyli i wiedzieli, co ich może spotkać. 1 września 1939 r. hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę.

Z chwilą wkroczenia Niemców do miasta, zaczęły się masowe aresztowania i rozstrzeliwania. Tutejsza mniejszość niemiecka - aczkolwiek nieliczna - z miejscowymi folksdojcami pomagała gestapowcom w sporządzeniu list polskich działaczy patriotycznych. Rozporządzeniem władz niemieckich w 1940 r. wydano nakaz o obowiązkowym uczęszczaniu do szkoły. Uczyliśmy się pisać, czytać, liczyć i śpiewać piosenki po niemiecku. Nauka szła opornie i opieszale, nie przykładaliśmy się zbytnio, a wrogo nastawieni nauczyciele często wpadali w złość, posuwając się nawet do bicia.

Dwa metry do życia

W mieście krążyły pogłoski, że Polacy mają być wysiedlani do obozów, a następnie do Generalnego Gubernatorstwa. Matka zapobiegliwie spakowała parę rzeczy do walizki i czekaliśmy co będzie dalej. 3 grudnia 1940r. o godz. 5.45 gestapowcy brutalnie wtargnęli do domu, rozkazali nam szybko się ubierać i opuścić mieszkanie. Matka uprosiła, by po-



Autor wspomnień.

Fot. z archiwum rodzinnego

zwolili nam zabrać trochę odzieży i bielizny. Zgodzili się, ale tylko na niewielki bagaż. Dwóch gestapowców pod karabinami zaprowadziło nas na dworzec kolejowy w Kościanie, gdzie już czekały osobowe wagony. Ludzi wyrzucano z domów, gdy było jeszcze ciemno, żeby jak najmniej świadków widziało tragedię wygnańców. Mimo to wielu kościaniaków przyszło na dworzec pożegnać swoje rodziny, niektórych na zawsze.

O godzinie 22.00 pociąg ruszył w kierunku Poznania. Podróż trwała dość krótko, bo o 2.30 byliśmy już w Łodzi. Tam zaprowadzono nas do fabryki zamienionej na obóz przejściowy, gdzie na słomie przesiedzieliśmy do rana. Rano nowa wędrówka do dość odległego obozu. Mieszkańcy Łodzi ze współczuciem patrzyli na nasz pochód; na umęczone twarze staruszków i dzieci trzymające się kurczowo rodziców. Po przybyciu na miejsce kobiety rozdzielono od mężczyzn. Ja byłem z ojcem, a siostra z matką. Bardzo się bałem, żeby nie rozdzielono mnie od rodziców, jak to

spotkało moich rówieśników z wcześniejszych i późniejszych wysiedleń, których siłą zabierano i umieszczano w obozie dla dzieci w Łodzi.

Każdy wyczytywany z listy podchodził do rewizji, zabierano pieniądze, zegarki, obrączki, kolczyki, nową bieliznę, wełnę. Osoby, u których znaleziono ukryte przedmioty dotkliwie karano. Sceny podczas rewizji były nie do opisanego: płacz i rozdierające krzyki. Po rewizji cały transport przewieziono tramwajami do odległego o kilka kilometrów od Łodzi - Konstantynowa. O godzinie 16.00 zmęczeni i głodni stanęliśmy przed bramą obozu ogrodzonego drutem kolczastym i budkami strażniczymi. Umieszczono nas w dużej hali - starej tkalni na pierwszym piętrze. Każdej rodzinie wydzielono ok. 2 metry kwadratowe do życia. Po dwóch dniach rano dano nam ciepłą, czarną kawę i pół chleba na osobę. Obiad składał się z zupy krupniku, a wieczorem dostaliśmy tylko czarną kawę. Jedzenie pogarszało się wraz z przyjazdem następnych transportów wysiedlonych. Nadeszły Święta Bożego Narodzenia 1940 roku. W obozie był to normalny dzień, jedzenie to samo, co zawsze. W drugi dzień świąt, każde dziecko dostało kilka ciastek. Były to dla mnie najsmutniejsze święta w życiu. Z zimna i niedożywienia szerzyły się choroby, swoje żniwo zaczęła zbierać śmierć. Najwięcej chorowały małe dzieci i starsi. Codziennie wywożono zmarłych na cmentarz. W obozie panował surowy regulamin, który zabraniał rozmów, gromadzenia się, podchodzenia do okien. Za błahe przewinienia komendant obozu bił bez litości, a my dzieci byliśmy zmuszeni się temu przyglądać. Na miejscu nie było żadnych urządzeń sanitarnych; chodziliśmy myć się do piwnicy, ubikacje były na dworze. Była to zwykła wiatra, bez ścian bocznych, a w niej drążki do siedzenia, nad otwartymi dołami, tak że łatwo można było wpaść do środka.

Droga przez mękę

Pod koniec stycznia 1941r. w nocy wyczytano nazwiska rodzin przeznaczonych do dalszego transportu. Z bagażem pomaszzerowaliśmy na dworzec. Mróz dochodził do - 20°C. Wło-

żyliśmy na siebie wszystkie ciepłe rzeczy. Przed północą załadowano nas do wagonów i zawieziono do Łodzi. Po półgodzinnym marszu w śniegu, ciemności i mrozie dotarliśmy do wagonów, czekających na bocznych torach. Była to droga przez mękę, zwłaszcza dla starszych i dzieci. Zewsząd dobiegało wołanie zagubionych dzieci i starszych, którzy wzywali pomocy. Nad ranem pociąg ruszył w kierunku: Skarżyska i Lublina, lecz nikt nie wiedział dokąd nas wiozą. W drodze zmarło wiele osób, niemal na każdym postoju wynoszono trupy. Całą podróż przejechaliśmy w nieogrzewanych wagonach. Kto miał termos, mógł napić się czegoś ciepłego, ale przecież większość nie miała, a na postojach nie dostaliśmy niczego do jedzenia ani picia. Wreszcie po 36 godzinach dotarliśmy do celu. Był to Zamość.

Po wyjściu z wagonów całą kolumną ruszyliśmy do miasta. Droga była zaśnieżona, ludzie zmarznięci, głodni i wyczerpani do granic wytrzymałości. Po dotarciu na miejsce, umieszczono nas w Kościele Kolegiaty Zamojskiej. Tam dostaliśmy ciepłą strawę, a dzieci mleko. Wieczorem zaczęli podjeżdżać saniami okoliczni gospodarze i zabierać rodziny do siebie na wieś. Moja rodzina po godzinnej jeździe dotarła do wsi Wierzbie w gminie Łabunie w powiecie zamojskim. Moja siostra cudem uratowała się od zamrznienia: całą drogę była budzona, aby nie zasnęła. Umieszczono nas u gospodarza Władysława Kurchuta. Jego rodzina przyjęła nas z wielkim sercem, chociaż sama była uboga. Po paru dniach wszyscy oprócz matki zachorowaliśmy. Leczył nas felczer, który był również nauczycielem we wsi. Był to wspaniały człowiek - patriota, który jak tylko mógł ratował życie ludzkie. Dostaliśmy od gospodarza mały pokój, ale zupełnie pusty i bez pieca. Ojciec z desek zrobił łóżka, a parę sprzętów oraz mały piecyk dał nam gospodarz. Cieszyliśmy się, że wreszcie uwolniliśmy się od hitlerowskich żołdaków, którzy nas cały czas pilnowali.

Od marca 1941r. Ojciec zaczął pracować w firmie budowlanej „Bauleitung” w Łabuniach leżących około 4 km od Wierzbia. Z siostrą zaczęli-

śmy chodzić do szkoły, które w Generalnym Gubernatorstwie były czynne. Uczyliśmy się wszystkich przedmiotów, oprócz historii i geografii. Zeszyty i przybory dostaliśmy za darmo, nauczyciel, jak już wspomniałem, był życzliwy. Głodu nie mieliśmy, ale wszystkiego brakowało: odzieży, żywności, nic nie można było kupić. Codziennie chodziliśmy po mleko do innego gospodarza. Było mi ciężko tak żebrać i czekać pod drzwiami, jak na jałmużnę. Nasi gospodarze dzielili się z nami żywnością i zapraszali na każde święta. 22 czerwca 1941r. Niemcy napadły na Związek Radziecki. Pamiętny dzień, ponieważ wtedy w kościele w Łabuniach przyjąłem I Komunię Św. Niedaleko kościoła znajdowało się lotnisko. Startujące bombowce tak hałasowały, że wszyscy w kościele zamarli. Załknięci ludzie, dopiero później dowiedzieli się o nowej wojnie. Od września znowu zacząłem chodzić do szkoły, do czwartej klasy.

W służbie u kolonistów

10 grudnia 1942r. wczesnym rankiem wieś otoczyła żandarmeria niemiecka. Krzykiem i biciem zmuszano ludzi do opuszczania mieszkań. Nas to spotkało po raz drugi. Wszystkich spędzono do szkoły i tu nastąpiła selekcja. Młode osoby wysłano na roboty do Niemiec, a starszych z dziećmi do obozu przejściowego w Zamościu. Zostawiono kilka rodzin, jako siłę roboczą u osiedlonych niemieckich kolonistów. Naszą rodzinę pozostawiono, ponieważ ojciec pracował w firmie niemieckiej. Niestety, już nie wróciliśmy do poprzedniego mieszkania. To, co zostało z naszego dobytku, przepadło. Rodzinom, które pozostały na miejscu przydzielono domy na skraju wsi. Wysiedlenie obyło się na szczęście bez mordów i podpaleń w przeciwieństwie do sąsiednich wsi, w których naziści zabijali ludzi i palili całe zabudowania. Na drugi dzień przybyli niemieccy koloniści zając najlepsze gospodarstwa. Każdy kolonista zatrudniał przydzielonego polskiego parobka. Szkoły i kościoły



Kościaniak Kajetan Tomaszewski z córką pod murami obozu w Konstancynie Łódzkim.
Fot. z archiwum rodziny Tomaszewskich

▶ pozamykano, dzieci pozbawiono możliwości nauki.

Nasz nowy dom znajdował się na samym końcu wsi i oddalony był o kilkadziesiąt metrów od pozostałych budynków. Mieszkaliśmy tam zasypani śniegiem jak na Syberii. Po wodę chodziliśmy do źródła. W noc sylwestrową 1942/1943r. w odwecie za wysiedlenia i mordy popełnione na Polakach ruch oporu przeprowadził akcję zbrojną na naszą wieś – Wierzbie. Spłonęło kilka zabudowań oraz zastrzelono paru zagorzałych hitlerowskich osadników. Wielki strach na nas padł. Obawialiśmy się, że posądzą nas o współudział w napadzie. Nam dano spokój, ale rozstrzelano 20 mężczyzn z sąsiedniej wsi. W maju 1943r. znenawidzeni wrogowie zabrali się za nas dzieci. Miałem 13 lat. Zostałem zatrudniony u niemieckiego kolonisty Sterna. Był to największy kat we wsi. Gospodarką zbytnio się nie interesował - miał od tego ludzi. Latem pasłem bydło, zimą wykonywałem wszystkie prace w gospodarstwie. Pracę rozpoczynałem o 7.00 godzinie. Dostawałem chleb na cały dzień i wyruszałem z moimi krowami na łąkę. Wracalem do domu wieczorem i dopiero wtedy jadłem obiad. Marne wyżywienie i brak witamin spowodowało, że nogi miałem całe pokryte

wrzodami, co bardzo bolało. Żadnych środków higienicznych takich jak bandaże i maści nie można było kupić, więc nogi zawiązałem liśćmi. Za moją pracę nie dostawałem ani grosza, a czy starszym płacono tego nie pamiętam. Nikt nie miał książeczek pracy Arbeitsbuch. Matka każdego dnia z lękiem czekała na mój powrót, obawiała się, że mnie Stern będzie bił. Muszę stwierdzić, że nigdy nie uderzył mnie, ani starszych pracowników. Nas Stern nie bił, za to wyżywał się na sąsiedniej wsi, mścił się na niewinnych Polakach, za to że partyzanci zabili jego matkę i siostrę.

Koniec poniewierki

Ojciec nadal pracował w Łabuniach i to było całe nasze źródło utrzymania. Pewnego dnia wracając z pracy do domu postanowił skrócić sobie drogę, przechodząc między stawami nagle usłyszał strzały i kule świszające koło niego. Po chwili ujrzał gestapowców wymachujących karabinami. Nie miał szans ucieczki, podniósł ręce do góry i czekał. Przeszukali ubranie, czy nie posiada broni i rozmawiali między sobą ciesząc się, że złapali bandytę. Ojciec rozumiał po niemiecku i myślał, że to już jego koniec. Na szczęście dokumenty, które posiadał uratowały mu życie. Po przyjeździe do domu blady i wystraszony nie mógł wypowiedzieć słowa.

Codziennie wieczorem odmawialiśmy modlitwę, którą nas matka nauczyła:

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie, Wysłuchaj modłów Polaków wygnanych

Którzy w cierpieniu wzdychają do ciebie, Klęczą przed tobą - łzami zalanych

Powróć do nas, biednych na łono ojczyzny, Oszczędź nam bólu i przelewu krwi,

Niech z woli zakwitnie kwiat żyzny – Nasz polski, a dziękczynna - pieśń niech brzmi.”

Rok 1944 rozpoczął się niepowodzeniami Niemców na frontach wschodnich. Dla nas Polaków była to wielka uciecha, wstąpiła w nas nadzieja, że wolność już blisko. W maju zacząłem znowu wypasać krowy. U Niemców we wsi zauważyliśmy większą nerwowość; czuli, że ich panowanie dobiega końca. Robili zapasy żywności w razie ucieczki na zachód. Wreszcie nastał dzień, na który tak długo czekaliśmy. Rano, gdy przyszedliśmy do pracy nie było już nikogo. Ogromna radość. 20 lipca 1944r. skończyła się nasza poniewierka, skończył się najgorszy czas mojego dzieciństwa. Wojna trwała, ale na terenach oswobodzonych już działały szkoły. Zaczęłem chodzić do szkoły w innej wsi, uczyłem się tam aż do naszego wyjazdu do Kościana. W styczniu 1945r. zachodnie tereny Polski już wyzwolono, ale powrót z wygnania był niemożliwy z powodu zniszczeń kolejowych. Dopiero 10 kwietnia po 4,5 rocznej deportacji, powróciliśmy zmęczeni, ale szczęśliwi, że cała rodzina ocalała...

Kiedy pisałem te wspomnienia cała przeszłość stanęła mi przed oczyma – wszystkie tragiczne sceny, jakie tam przeżyłem ja i moja rodzina. Dzisiaj po tylu latach nie mogę uwierzyć, że przeżyłem taką poniewierkę. Za mocno i za głęboko wryły się dni grozy, by można było puścić je w niepamięć. Winniśmy sobie życzyć, by wieść o tym dotarła do młodych ludzi. Niech to będzie lekcja historii dla tych, którym los dał szczęście urodzić się po wojnie, by docenili czym jest wolność i potrafili jak najlepiej z niej korzystać.

STANISŁAW RAJCH

Żydowskie dziecko

Mój przyjaciel Gottfarstein opowiedział mi taką oto historię. Ale żeby wszystko było jasne od razu powiem, że Gottfarstein jest Żydem, i to Żydem ze Wschodu. I co jeszcze, a więc że przywykł do emigrowania, że jest człowiekiem nerwowym, ponadto ma serce poety i jako taki przeżywa głęboko to, co się wokół dzieje, lecz wyciąga wnioski ze swej wrażliwości, stąd postanowił walczyć. Jego nazwisko tłumaczy się jako „Gottverstehn”, czyli „Zrozumieć Boga”, ale ponieważ Gottfarsteina doświadczyło życie i żył w pobliżu wielu nieszczęść, więc przestał Boga rozumieć z chwilą, gdy zobaczył, jak też świat jest naprawdę urządzony.

Gottfarstein przebywał w Paryżu w wielu hotelikach, w których znajdowali schronienie ludzie nie posiadający własnego kąta. Im mniejszy, im bardziej na peryferiach znajdował się taki hotelik, tym większa i tym bardziej anonimowa była bieda, która się w nim potęgowała. W sąsiedztwie pokoiku, w którym przebywał, zamieszkiwała rodzina żydowskich uciekinierów. Ludzie ci kiedyś wcale nie byli biedni. Posiadali sklep w jednym z niemieckich miasteczek, który nieźle prosperował, więc mogli żyć tak, jak inni ludzie ich pokroju. Ojciec zajmował się sklepem, w czym pomagała mu matka, która oczywiście dbała również o przytulne, skromne mieszkanie. Oboje oprócz pracy przeznaczali swój czas wyłącznie rodzinie i to właśnie stanowiło w ich postępowaniu błąd i było naganne. Gdyby bowiem wszyscy ludzie ich pokroju troszczyli się o dobro społeczeństwa, również im żyłoby się w tym społeczeństwie lepiej i niejednemu zdarzeniu dałoby się zapobiec. Ale ci ludzie żyli właśnie tak, jak im podobni.

Jakub, ich najstarszy synek, chodził do szkoły, a kiedy miał chyba dziewięć lat, zaczęła się w Niemczech hitleriada i Jakub miał być pierwszym w rodzinie, który jej na sobie doświadczył. Otóż nagle w jego szkole wszyscy nauczyciele

okazali się być nazistami. Wychowawca w klasie Jakuba był nawet oficerem SS i świadom swojej pozycji i mocy, jaką zapewniała mu jego ranga, często kazał klasie śpiewać piosenkę, w której między innymi znajdowały się takie oto słowa:

Gdy spod naszych noży tryska Żydów krew,
wtedy w nas buzuje krwiożerczy wilków zew.

Wychowawca i w jednej osobie oficerem SS w momencie, kiedy pojawiały się te słowa, zwracał szczególną uwagę na Jakuba, bacząc, by chłopiec gorliwie śpiewał.

Na małym Jakubie słowa te wywierały przykre, coraz bardziej przykre wrażenie, czuł, że są one z gruntu wstrętne. Przecież był Żydem i jego rodzice, którzy byli dobrzy nie tylko dla niego, lecz i dla innych ludzi, byli Żydami, więc dlaczego teraz jego krew, krew rodziców i krew wszystkich Żydów, żydowska krew ma tryskać z noży? Dlaczego? Dlaczego krew Żydów? I dlaczego te straszne noże?

Chłopiec bardzo to przeżywał. Jego umysł wciąż zaprzętała krew Żydów, krew spływająca z noży. Bardzo często cytował te przykre słowa rodzicom, pytając, dlaczego tak ma być, zaś oni, którzy i tak żyli w niepokojach, nie wiedzieli, co mu odpowiedzieć. Zrozpaczeni rozmyślali, co mogliby dla syna uczynić. Wreszcie, z wielkim trudem – ponieważ z powodu obawy przed nazistami wielu mieszkańców miasteczka stało się ich wrogami – udało im się uzyskać zaświadczenie od lekarza, stwierdzające, że Jakub ma słabe gardło i nie może śpiewać.

Oficer SS i w jednej osobie wychowawca klasy zmuszony był w tym miejscu ustąpić. Jakub nie musiał te-

raz śpiewać, że krew żydowska tryska z noży. Lecz rodzice nie pomyśleli i nie spodziewali się, że skutki zwolnienia ze śpiewu okażą się jeszcze bardziej opłakane, bowiem śpiewając Jakub dbał o melodię i dotąd jednak osłabiał nieco wydźwięk okrutnej zwrotki, natomiast teraz musiał codziennie wsłuchiwać się w nią i ta gnieździła się w nim coraz bardziej i głębiej.

Kłucie, kłucie nożami kłuło coraz bardziej jego słuch, wbijało się w głowę, w krew. Widział wciąż tylko błyszczące ostrza noży, plamy zrudziałej krwi i strużki krwi ściekające z ostrza jakby sycząc. Mały Jakub nie mówił teraz o niczym innym, jeżeli w ogóle coś mówił. Przystał jeść, twarz miał bladą, coraz mocniej chudł, był chory, i to coraz bardziej.

Rodzice postanowili wreszcie, że muszą opuścić nie tylko miasteczko, ale w ogóle Niemcy, co okazało się wcale nie takie proste. Kochali przecież swój dom, miasteczko oraz ten kraj. Było to miasteczko oraz kraj ich rodziców i dziadków, tutaj jedli i spali, pracowali i chodzili na spacer, a dawniej mieli tu przyjaciół. Względy materialne także tego nie ułatwiały. Musieli wszystko sprzedać, a konieczność zmuszała ich do sprzedania jak najtaniej. Żaden notariusz nie chciał sporządzać dla nich umów z powodu wrogości albo ze strachu przed okrutnymi władzami. Oszukiwano ich gdzie tylko to było możliwe, oszukiwali ich nawet ci, którzy niedawno byli ich przyjaciółmi, więc stracili niemal wszystko. Ale nie dane im było dłużej żyć w swoim miasteczku i chcieli przede wszystkim ratować Jakuba przed suro-



► wym nauczycielem i wszechwładnym oficerem SS.

Z początku wydawać się mogło, że małemu żyje się tutaj lepiej. Wprawdzie przerażał go obcy język, gdyż język niemiecki, który nie zbrzydł mu mimo tej okrutnej zwrotki, stanowił jego jedyny język i był jego własnym językiem. Ale kiedy się zorientował, że w domu i na ulicy, oprócz rodziców, wszyscy mówią inaczej, ożywił się, bo przecież nie słyszał tu niczego o nożach i żydowskiej krwi, a to, co obce, zaczęło go nawet bawić. Rodzice byli z tego powodu szczęśliwi, mimo że wciąż jeszcze trapiły ich zmartwienia, ale na Jakuba spoglądali z uśmiechem i głaskali go po głowie. Myśleli, że uwolnił się od tych okropności i o nich zapomniał.

Lecz wtedy wydarzyło się coś... – od tego miejsca mój przyjaciel Gottfarstein, który dotąd o tej całej historii opowiadał, to, co mówił, głęboko przeżywał, gdyż w tym niejako osobiście uczestniczył. ...Otóż pewnej nocy usłyszał, że w pokoju obok ktoś śpiewa. Był to śpiew dziecka, wysoki, czysty. Śpiewało ono wciąż to samo: Gdy spod naszych noży tryska Żydów krew, wtedy w nas buzuje krwiożerczy wilków zew.

Gottfarstein, mimo że siedział dotąd przy stole, na którym pisał, skoczył na równe nogi i zaciskając pięści wsparł dłonie na papierach. Przecież tam, o czym doskonale wiedział, mieszkali emigranci, żydowscy uciekinierzy, i to u nich ktoś śpiewał najgłupszą, barbarzyńską i na wskroś antysemicką piosenkę?

Następnego dnia przekonał się, że się nie mylił, lecz miał to nie tylko słyszeć każdej nocy, ale i oglądać na własne oczy. Otóż o drugiej w nocy chłopiec, który dotąd spokojnie spał, nagle siadał na łóżku i dziecięcym głosem, wysokim i czystym, śpiewał straszną zwrotkę, która w nim, jak się okazało, wcale nie wygasła i którą raz po raz powtarzał. Przerażeni, zerwani ze snu, śmiertelnie wystraszeni rodzice przykładali mu na czoło kompres z zimnej wody, przypusz-

czając, że chłopiec stał się lunatykiem, i z lękiem i czule do niego przemawiali. Nic to nie pomagało, puste, gęste od snu powietrze tworzyło barierę między nimi a dzieckiem, tylko jego cieniutki głos przenikał ich na wskroś jak ostrze błyszczącego noża i przebijał ściany. Ich dziecko ich nie słyszało. Po godzinie chłopiec opadał na poduszki jak zmruszała deska i zapadał w głęboki sen.

Kiedy następnego dnia wyczerpani rodzice pytali go o nocny śpiew, chłopiec nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Lecz w nocy, koło drugiej, znów się do trzeciej rozlegało śpiewanie chłopca zupełnie niepomnego tego, co się do niego mówi, aż nie opadł na łóżko i usnął. I tak działo się każdej nocy.

Rodzice udali się z nim do lekarza. Ten opukał młoteczką kolano, zaświecił w oczy, naciskał i sprawdzał, powiedział parę słów po łacinie, wreszcie wzruszył ramionami. Tu nie da się nic zrobić, powiedział. To bardzo rzadki, wyjątkowo rzadki przypadek, by dziecko było umysłowo chore...

„Umysłowo chory”, powtórzyli cicho rodzice i wypowiedzieli te słowa często, zawsze bardzo cicho i przez cały dzień. Znękanych wieloma troskami nie opuszczały te jedno słowa i obawa przed kolejną nocą. Gdyż każdej nocy chłopiec leżący w łóżku obok podnosił się i dziecięcym dyszkantem śpiewał przeklętą hitlerowską pieśń.

Pewnej nocy ojciec klęknął obok łóżka, zalał się łzami, wyciągnął do chłopca ręce i krzyczał tak, że mogło się wydawać, iż także on zwariował: „Jakubku, czy chcesz, abym się pozbawił życia?”. I począł wycieńczonemu chłopcu wymieniać wszystkie rodzaje samobójstwa: można się powiesić, zastrzelić, utopić, otruć, można... można... Oniemiałe dziecko, przypominające z wyglądu starca pochylającego się nad klęczącym mężczyzną, jakby to ono było jego ojcem, w bezruchu i zaskoczeniu rzekło: „Nie rób tego, ojcze, nie rób tego! Przecież wtedy zostanę sierotą! Ja za siebie nie mogę. Wcale nie chcę tego śpiewać. Nic na to nie poradzę. To nie ja śpiewam, to śpiewa we mnie...”.

W tym miejscu dla Gottfarsteina ta historia się kończy. Lecz nie kończy się ona dla chorego Jakuba i jego

rodziców, gdyż rodzina opuściła zajmowany dotychczas hotelik. Życie emigrantów jest bardzo trudne i często zmieniają się jego warunki, najczęściej nie zmienia się jedynie bieda. Nie wiadomo, co się dalej działo z rodzicami i z ich umysłowo chorym dzieckiem.

Ponieważ ta historia nie może się tak zakończyć dla diabelskich łotrów, którzy spustoszyli kraj i umysły jego mieszkańców, a dziewięcioletniego chłopca pozbawili zmysłów – co uczony lekarz określił jako rzadki przypadek, jako wyjątkowo rzadki przypadek – ta historia nie może się zakończyć dla tych, którzy z nauczyciela uczynili oficera SS, a z oficera SS nauczyciela, który wywołał pomieszenie zmysłów dziewięcioletniego chłopca – ta historia nie może się tak po prostu zakończyć, lecz trzeba ją wszędzie opowiadać, aby wszyscy zdali sobie sprawę, co znaczy nazizm w Niemczech, czym jest dla Niemiec i dla całego świata.

Każdy powinien tę opowieść usłyszeć i wierzyć, że tak było, gdyż jest ona w każdym calu prawdziwa. A ktoś, kto zrozumie ją lepiej, aniżeli biedny płaczący ojciec zrozumiał Jakuba, ten ją zapamięta, a jeśli zapamięta, to wyciągnie z niej dla siebie odpowiednie wnioski.

RUDOLF LEONHARD

Przekład z języka niemieckiego:
Eugeniusz Wachowiak

*Rudolf Leonhard (Rudolf Samuel Levysohn) urodził się 27 X 1889 w rodzinie żydowskiego adwokata w Lesznie, gdzie zdał maturę. Studiował filozofię oraz filologię. Poeta, prozaik, dramaturg, eseista. W roku 1907 rodzina przeprowadziła się do Wrocławia. W 1927 Rudolf na miejsce zamieszkania wybrał Paryż. Piętnował faszyzm. Po wkroczeniu Niemców do Francji został internowany, z obozu udało mu się uciec. Uczestniczył w ruchu oporu w Marsylii. Nigdy nie przestał pisać, także w odosobnieniu. W roku 1915 napisał cykl wierszy poświęconych Polsce, *Polnische Gedichte (Wiersze polskie)*. Zmarł 19 XII 1953 roku w Berlinie Wschodnim.*

Konkurs:

Poznaj swój region

1. Przez jakie parafie wiedzie Kopaszewska Droga Krzyżowa?
2. Jaka szkoła zwróciła się do władz miejskich o nadanie imienia Mariana Koszewskiego?
3. Gdzie umarł wulkanolog dr Maurycy Komorowicz?
4. Która rocznica zbrodni katyńskiej przypada w tym roku?
5. Kto jest autorem powieści pt. „Krzysztof Żegocki czyli Oswobodzenie Kościana”?

Odpowiedzi na zadane pytania Czytelnik znajdzie bez trudu w tym wydaniu „WK”. Należy je spisać na kartce pocztowej i przesłać w terminie do 30 kwietnia 2010r. na adres: Redakcja „Gazety Kościańskiej”, ul. Dworcowa 2, 64 – 000 Kościan. Wśród autorów trafnych odpowiedzi wylosowane zostaną cenne nagrody książkowe.

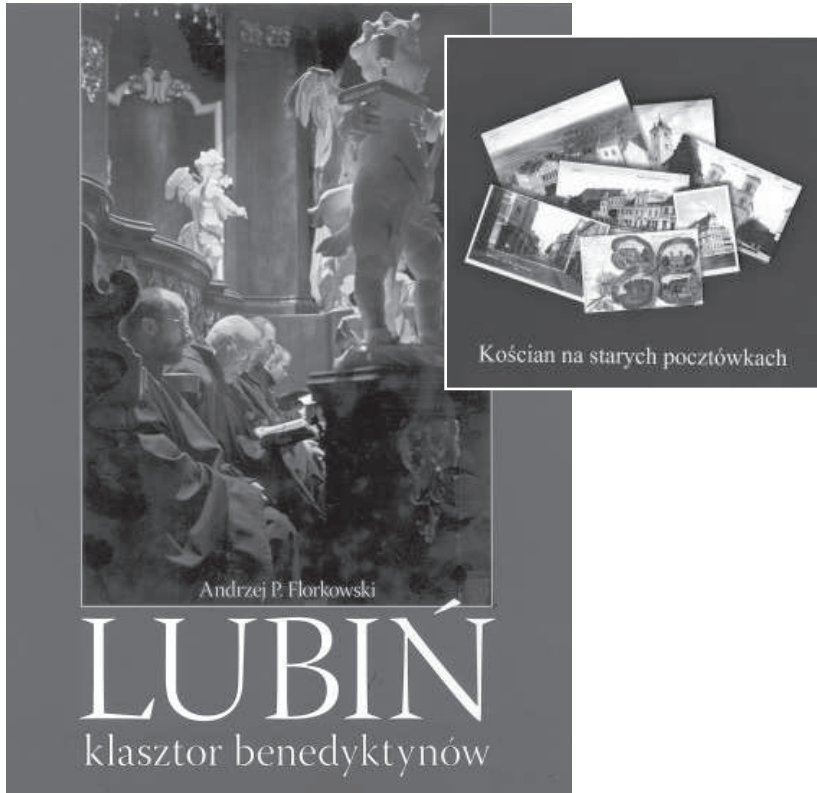
*

Rozwiązanie konkursu pt. „Co wiesz o Ambasadorze?” z poprzedniego numeru „WK”:

1. Alfred Chłapowski urodził się 5 października 1874 roku w Bonikowie.
2. Zmarł 19 lutego 1940 roku w Kościanie.
3. Jego grób znajduje się na cmentarzu parafialnym w Bonikowie.
4. Alfred Chłapowski był ambasadorem Polski we Francji w latach 1924 – 1936.
5. Autorem książki monograficznej o Alfredzie Chłapowskim jest prof. Mariusz Wołos.

Nagrody książkowe otrzymują: Mateusz Marcinowski - Kościan, Aleksandra Przybył - Naclaw, Alina Ruskowska - Betkowo, Katarzyna Matuszczak - Kościan, Tomasz Garstka - Kościan.

Fundatorami nagród (do odebrania w siedzibie redakcji: Kościan, ul. Dworcowa 2) **jest Starosta Kościański oraz Burmistrz Miasta Kościana.**



• POEZJA • POEZJA •

POETA ULEGA GŁĘBOKIEJ
MELANCHOLII
ZADUMAWSZY SIĘ
W OKOLICZNOŚCIACH
PODEJMOWANIA DIALOGU
Z ADRESATKĄ
Z KTÓRĄ KONTAKT
BEZPOŚREDNI
NIEODWOŁALNIE NASTĄPI

Pretensji nie mam Pani
i trochę rozumiem:
nigdy spełniona Twa
tajemniczość pięknie uroczą

Ty jesteś taka
bezzadnie smutna
jakże mnie więc
pretensje Pani mieć?

Milczysz – wiem
oceanem treści Pani
lecz i treść
skończona przecie

Jedynie trochę
żał nas
bo spotkanie Pani
jedno tylko –

I na koniec

TADEUSZ HOFMAŃSKI

MODLITWA INTYMNA ALBO
POETA ODDAJE SIĘ MARZENIU
O DOSKONAŁEJ
JAK CIAŁO DOSKONAŁE
CZARNE

PRZYSZŁOŚCI

Bardzo chcę
zamknąć oczy

Sam

I żeby jeszcze
uśmiech spokojnopogodny

Że dokonało się

TADEUSZ HOFMAŃSKI



Jaka kaczka jest, każdy widzi.

Fot. Bogdan Ludowicz

Podła kaczka [Opowieść myśliwska]

Ognisko powoli zaczęło dogasać. Zmęczone psy wylegiwały się blisko ognia. W ich śnie polowały jeszcze. Nocną ciszę przerywały ciche poszczekiwanie, a łapy w rytmie sennych pomruków poruszały się jakby goniąc zwierzynę. Nawet zapach gulaszu nie zakłócał tym wiecznym żebrakom zasłużonego odpoczynku po całodziennych łowach. A pracowały ciężko. Gęsty szuwar pokrywał brzegi zbiornika; do tego jeszcze muliste płytkie dno nie ułatwiało podnoszenia strzelonego ptactwa. Polowałem tam z niejaką bojaźnią. Bałem się, że błotnista maź może wciągnąć miotającego się w niej psa. Przeżyłem taką przygodę nad Bugiem.

Gdy po kilkunastu godzinach jeździe czworonogi zaczęły się domagać rozprostowania kości, stanęliśmy w miejscu niezwykle urokliwym. Teren wydawał się przyjazny. Trochę piaszczystych łąch, woda, w oddali pasły się krowy. Gordony z radością

wyskoczyły z auta, za nimi ze zjadliwym radosnym szczekaniem poszły jamniki. Hanka na masce poloneza rozłożyła jedzenie. Spokojnie popijając kawę podziwialiśmy radośnie biegające gordony.

Pierwsza biegła najmłodsza Flinta i to ona trafiła na bagienko, z którego dość szybko się wygrzebała. Za nią poszła Dakota - jej się też, choć z trudem, udało się wydostać. Ale Alpa z tej rozbełtanej breji już wyjść nie mogła. Kilka prób speliło na niczym. Utknęła o dobry metr od twardego gruntu. Biegając jej na pomoc pobiełem wszystkie życiowe rekordy. Dotarłem do suni, gdy z błočka wystawała już tylko szyja i przednie łapy. Złapałem za obrożę. Powoli udało mi się ją wyciągnąć. Do końca życia nie zapomnę Alpinych oczu, gdy pomagałem jej się wykaraskać. Uraz pozostał na zawsze i u suni, i u mnie.

Nazajutrz czekał nas inny kaczy teren. Mieliśmy opolować stawy, a wie-

czorem stanąć nad zalewem, gdzie aż roilo się od ptactwa. Był to raj dla ornitologów i myśliwych. Miał do nas dotrzeć Tomek - wówczas student ostatniego roku leśnictwa, sokolnik no i - co ważne - właściciel świetnie ułożonego pointera Wiga. I zjawił się. Na jego ramieniu wisiała horizontalna dubeltówka na pełnych zamkach i o angielskiej kolbie. Prezentował się wspaniale. Przyjechał ze swą dziewczyną Agnieszką znaną w kynologicznym światku z pięknych anglików i ciętego języka.

Pogoda niestety zepsuła się. Zaczęło padać. Niemiły mokry chłód wciskał się wszędzie. I szczerze mówiąc, tylko zapał Tomka zmusił nas do wyjścia w pole. Rozumiałem go doskonale, pamiętam siebie w podobnych sytuacjach. Bo - co jak co - ale męska rzecz to polować. Ruszyliśmy. Tomek z Agnieszką i Wigiem stanęli na porośniętym krzakami cyplu. Miejsce to nazywałem stanowiskiem dla VIP-ów. Tam stawiało się zacnych gości. Kaczki i gęsi najczęściej nad nim przelatowały zapadając. Poszliśmy kilkanaście metrów dalej, zasiadając na karpinach.

No i po jakiejś pół godzinie ptaki zaczęły ciągnąć, i to od strony Tomka. Strzelał z jednej lufy poprawiał z drugiej, a ptaki nic, nie spadały, za to zaraz po każdym strzale głośno kwakała jedna kaczka, siedząca w pobliżu. Słychać to było mniej więcej tak: Bach! Bach! i za chwilę głośne kwa! kwa! Tomek robił się coraz bardziej nerwowy, bo i świętego by szlag trafił. Obok dziewczyna, do tego jego pierwsza dubeltówka, kupiona za zaoszczędzone studenckie złotówki z komisur; dubeltówka wprost wymarzona - w angielskim stylu, a tam szydercza kaczucha za kępą trzcin. Skręcaliśmy się ze śmiechu. Tomkowi choć ma poczucie humoru, złość przeszła dopiero przy kolacji po kolejnym naporstku nalewki; przeszła na dobre.

Jakiś czas później na zlocie wylądów brytyjskich w Niepołomicach przechodziłem obok ogniska. Doleciał mnie znajomy głos Tomka. Opowiadał zebranym jak wtedy pudłował, a podła kaczka nic tylko śmiała się i śmiała.

BOGDAN LUDOWICZ